Nr 2 (26)
ROK II

TYDZIEN

12. I. 1947 r.
Cena 12 zł

ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE



DZIŚ W NUMERZE: MARIA DĄBROWSKA – STEFANIA GRODZIEŃSKA – JAROSŁAW IWASZKIEWICZ – JALU KUREK – ADAM RAPACKI – JERZY ZARUBA

Adam Rapacki

POLITYCZNE OBOWIĄZKI „APOLITYCZNYCH"

Pierwszą i wcale nie najmniejszą trudnością polityki jest oddzielenie tego, co jest zagadnieniem politycznym, od tego, co nim nie jest: człowieka politycznego od „apolitycznego".

Spór na ten temat ma na pewno bogatą literaturę teoretyczną i publicystyczną.

Mniejsza o nią. Myślę, że łatwo bez długich wywodów ustalić dwie prawdy.

Pierwsza: obywatel, który decyduje o tym, kto i według jakich zasad ma rządzi państwem — decyduje właśnie o najważniejszych sprawach politycznych. Przez to samo, że jest obywatelem — nie może być apolityczny.

Prawda druga: poglądy polityczne tego, czy innego obywatela mogą się zgadza albo nie zgadzać z programem tej, czy innej partii politycznej. Jeżeli poglądy tego, czy innego obywatela nie zgadzają się z poglądami żadnego stronnictwa — może on do żadnego stronnictwa politycznego nie należeć. Jest zresztą wiele innych przyczyn mniej lub więcej słusznych, mniej lub więcej szlachetnych, które powstrzymują ludzi od podpisania deklaracji partyjnej. Obywatel może być bezpartyjny, ale nie może być apolityczny.

Co to znaczy innymi słowy? To znaczy, że obywatel może się nie wtrącać do walki politycznej między stronnictwami, jeżeli ta walka toczy się o szczegóły: o osoby, o drugorzędne różnice programowe.

Ale obywatelowi nie wolno stać obojętnie i bezczynnie wobec zagadnień, od których zależy byt i rozwój narodu, od których zależy zastosowanie, albo odrzucenie wielkich zasad moralnych w życiu narodu: zasady sprawiedliwości społecznej, zasady władzy człowieka nad materią: nad ziemią, nad kapitałem, zasady równego startu życiowego, udziału w życiu kulturalnym wszystkich obywateli bez względu na ich pochodzenie i bogactwo.

Bo obywatel w każdym ustroju i w każdych warunkach jest moralnie odpowiedzialny za los narodu.

Walka wyborcza, która ma się rozegrać 19 stycznia nie jest walką ani o osoby, ani o drobne różnice programowe. To nawet nie jest walka o wybór między dwiema rozmaitymi drogami rozwoju narodu. Mówię po prostu i wyraźnie: jest tylko jedna jedyna droga życia i rozwoju przed narodem polskim. Pod karą zastoju, osłabienia, ostatecznego rozkładu i zniknięcia Polski jako siły politycznej z układu sił w Europie — nie wolno na tej drodze się zatrzymać.

Jaka to jest droga? Po pierwsze droga pokoju. Jeszcze jedna wojna byłaby ostateczną klęską biologiczną, byłaby dobiciem naszego straszliwie wykrwawionego narodu, który nigdy już nie mógłby się podnieść z gruzów, nigdy, spóźniony i tak o sto lat rozwoju, nie dogoniłby Europy. Takiej klęski nie opłaciłby nam żaden wynik wojny — choćbyśmy w razie zwycięstwa Związku Radzieckiego dostali nawet.. Berlin i Drezno. A cóż dopiero mówić o zwycięstwie przeciwników Z.S.R.R., — które by musiało być równoznaczne z awansem Niemiec na żandarmów Europy, bo tylko Niemcy mogliby „dopilnować" osłabionej Rosji — nigdy zaś jak bezsensownie marzą niektórzy — Polska do reszty zniszczona, oddzielona od zachodu 60 milionami wrogich Niemców. Tylko przy pomocy Niemiec i głównie ich żywymi siłami taki wynik wojny mógłby być osiągnięty — i za to wszystko trzebaby Niemcom płacić kosztem oczywiście Polski, kosztem Ziem Zachodnich, kosztem niemieckich wojsk w Polsce i włączenia Polski w niemiecki „system obronny" na wschodzie.

Na szczęście jest dla każdego już dziś jasne, że wojny nie będzie.

Po drugie — droga Polski to droga na Ziemie Zachodnie. Gotowy przemysł, dobrze urządzone rolnictwo na tych ziemiach — to jedyny ratunek, jedyna nadzieja, jedyna szansa dla całego narodu, a zwłaszcza wsi i młodzieży — która w dawnych granicach nie mogła dawniej i nigdy by nie mogła i teraz znaleść pracy. Zamiast perspektywy powolnego uduszenia się ludnościowego — otwiera się przed nami wielka szansa stworzenia nowoczesnego, zamożnego, silnego gospodarczo państwa.

A politycznie? Politycznie sprawa jest jeszcze prostsza: z Ziemiami Zachodnimi silna jest Polska, bez nich — słabe są Niemcy.

I właśnie dla tego — trzecie: sojusz z wszystkimi, którzy nie chcą silnych Niemiec. Dla ZSRR, Czechosłowacji, Jugosławii, Francji — silne Niemcy — to wieczne śmiertelne zagrożenie. Słabe Niemcy — to jedyna szansa spokoju i bezpieczeństwa. Słabe Niemcy — a więc silna sprzymierzona Polska z Ziemiami Zachodnimi w garści. I jeżeli są tacy, na szczęście coraz mniej wpływowi na zachodzie — którym właśnie wygodnie mieć silnego żandarma w Europie — to front państw zagrożonych, państw, które muszą chcieć silnej Polski — musi być zwarty — bez względu na wszystko cokolwiek mogło nas dzielić w przeszłości. Tylko te narody mogą się rozwijać i żyć, które patrzą w przyszłość, nie w przeszłość. Tylko te, które umieją usuwać kłody przeszłości z drogi przyszłości. Inaczej — odejdą w przeszłość i wraz z nią przeminą.

Czwarte — droga odbudowy, wskazana Planem Odbudowy Gospodarczej, pierwszym planem w Polsce, planem obliczonym nie na przyszłe pokolenia, ale na odbudowę dobrobytu i spokoju już naszemu, skołatanemu tragicznemu pokoleniu.

Piąte — przebudowa społeczna — ugruntowanie reformy rolnej i unarodowienia przemysłu. Tu nie chodzi o teoretyczne widzimisię tej czy innej partii marksistowskiej: chodzi o wyżywienie narodu, bo tylko chłop na swoim mógł szybko nadludzkim wysiłkiem, bez sprzężaju i bez narzędzi uruchomić rolnictwo, tylko on może wydrzeć z ziemi wszystko, co się da. Chodzi o zastąpienie planową gospodarką ustroju wielkokapitalistycznego, nie tylko niezdolnego do odbudowy z gruzów Polski, ale rozkładającego przecież gospodarkę najbogatszych i niezniszczonych krajów zachodu; chodzi o usunięcie kapitalizmu obcego — w którego interesie leży Polska rolnicza, przeludniona — rezerwuar taniej pracy, tanich produktów rolnych.

●

Czy jest inna droga? Nie ma.

Nie ma wyboru między różnymi drogami — jest jedna droga przyszłości — albo się ją rozumie, albo nie.

I to jest właściwy podział społeczeństwa polskiego: z jednej strony ci, którzy rozumieją tę jedyną drogę, pójdą nią, już od dwóch z górą lat idą, choćby nawet popełniając błędy, choćby nawet nie zawsze umiejąc przekonać biernych — ale idą i robią postępy. Z drugiej strony — razem wszyscy ci, którzy nie rozumieją i ci którzy nie chcą tej drogi. Jakieś dziwne pospolite ruszenie wszystkich biernych, wszystkich niedojrzałych, wszystkich wrogów jedynej wielkiej szansy narodu. Z jednej strony blok sił twórczych i świadomych — z drugiej zbiegowisko wszystkich na „nie", którego siłą jest... „Kraft durch Schadenfreude".

To nie jest podział partyjny — to jest podział według świadomości, według poczucia odpowiedzialności, według woli działania i tworzenia Polski w takiej rzeczywistości, jaka jest, w jedyny sposób, jaki jest możliwy.

●

Spółdzielczość nie jest ruchem partyjno-politycznym. Spółdzielczość jest ruchem społecznym. Jest w Polsce ruchem polskim zrodzonym bardziej niż na zachodzie z potrzeb narodowych, związana całą tradycją osiemdziesięciu lat z walką o Niepodległość. Poza tym ruch spółdzielczy jest ruchem obywatelskim — ruchem tych, którzy rozumieją rzeczywistość, którzy mają poczucie odpowiedzialności za swój los i za los innych, ruchem tych, którzy nie czekają na cuda z nieba, tylko sami biorą „swoje sprawy w swoje ręce" i budują w takiej rzeczywistości, jaka jest.

Dlatego ruch spółdzielczy zrozumiał od razu, o co chodzi dziś w Polsce. Zrozumiał, że nie chodzi w wyborach o spór partyjny — tylko o najważniejsze sprawy przyszłości narodu. Że chodzi o ideały społeczne, z których spółdzielczość się zrodziła i o które każdego dnia, każdą chwilą pracy walczy. Że nie chodzi o walkę między partiami — tylko o wybór między jasną świadomością jedynej drogi narodu — i niezrozumieniem i wrogością. Między przyszłością i przeszłością, między poczuciem odpowiedzialności — i teorią „im gorzej — tym lepiej". Między wolą tworzenia — i koalicją wszelkich „nie".

Spółdzielczość wybrała przyszłość, świadomość prawdy, odpowiedzialność, twórczą pracę. Idzie z Blokiem Demokratycznym.

To nie jest decyzja partyjna — spółdzielczość do żadnej partii nie zapisuje się i nie zapisze, i wszystkich, prócz swych świadomych wrogów chce widzieć przy wspólnej pracy spółdzielczej.

Ale to jest decyzja polityczna. Tylko że taka decyzja polityczna, która obowiązuje każdego, najbardziej bezpartyjnego obywatela, kiedy idzie o przyszłość narodu i o wielkie sprawy sprawiedliwego porządku społecznego.

Dlatego przykład spółdzielczości powinien rozważyć każdy bezpartyjny obywatel.

tak i nie

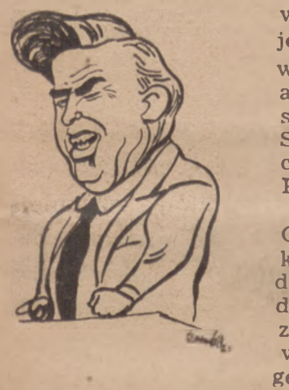
7 MILIARDÓW ZŁOTYCH I DWA DOLARY

Wyniki Daniny Narodowej, zgodnie z przewidywaniami, przedstawiają się bardzo pomyślnie. Dotychczas wpłynęło ponad 7 miliardów złotych. Z poszczególnych województw przoduje na razie Warszawa — 660 milionów złotych, drugie miejsce zajmuje Łódź — 609 milionów. Na szczególną uwagę zasługuje fakt, że Wrocław wpłacił 250 milionów złotych, co świadczy o wzmożonym tempie życia gospodarczego na tym terenie naszych Ziem Odzyskanych.

Biorąc pod uwagę podział wpłat na poszczególne działy gospodarki narodowej — na pierwszym miejscu znalazł się sektor państwowy — przeszło 3,5 miliarda złotych, inicjatywa prywatna — 2,7 miliarda, chłopi — 284 miliony, spółdzielczość — 230 milionów, świat pracy 10 milionów.

Najbardziej jednak wzruszające są wpłaty takie, jak np. Tadeusza Bucio, żołnierza polskiego z I Dywizji Pancernej w Anglii, który przysyła krótki list z prośbą o przyjęcie daniny — 2 dolarów, zakupionych z jego żołdu. Jest to już drugi list tego rodzaju, jeden z wielu, nadchodzących od Polaków z zagranicy. Jest on świadectwem jak głęboko cały naród polski w kraju czy na obczyźnie, przeniknięty jest wolą najszybszego i najlepszego zagospodarowania Ziem Odzyskanych.

WASZYNGTON I RADA BEZPIECZEŃSTWA



Prof. Lange sprawował dotychczas jednocześnie dwie ważne funkcje: ambasadora Polski przy rządzie Stanów Zjednoczonych i delegata Polski w Radzie Bezpieczeństwa ONZ. Obecnie funkcje te zostały rozdzielone. Ambasadorem mianowany został dr. Winiewicz, a prof. Lange pozostał nadal w Radzie Bezpieczeństwa.

Posunięcie to w dyplomacji naszej oddawna było oczekiwane. Od początku bowiem działalności Rady Bezpieczeństwa stało się jasnym, iż funkcja członka tej Rady nie da się pogodzić z żadnymi innymi obowiązkami dyplomatycznymi. Członek Rady Bezpieczeństwa musi w swym postępowaniu i wypowiadaniu opinii być całkowicie niezależnym, gdyż tylko wówczas będzie mógł należycie wypełniać nałożone nań zadania. Prof. Lange postępował tak jak trzeba było, a do jego sukcesów należy między innymi przeprowadzenie ostatniej rezolucji przeciwko rządowi gen. Franco.

Człowiek ten, będący z zamiłowania naukowcem, jednym z najwybitniejszych polskich ekonomistów, okazał się świetnym reprezentantem Polski na forum międzynarodowym i obowiązki swoje będzie pełnił nadal, mogąc skupić swoją uwagę i zainteresowanie wyłącznie w zakresie tak doniosłym, jaki obejmuje Organizacja Narodów Zjednoczonych.

PARTIA ROOSEVELTOWSKA



Od dawna przewidywane utworzenie trzeciej partii w USA doszło do skutku. Nosi ona nazwę postępowej, ale z równym powodzeniem można by ją nazwać rooseveltowską, przejmuje ona bowiem program Wielkiego Prezydenta i skupia szereg najwybitniejszych jego współpracowników z Henry Wallacem na czele.

A w Ameryce postępowcy wiele mają jeszcze do zrobienia. Pierwszym tematem zbierającego się nowego Kongresu jest projekt zniesienia prawa lynchu, czyli prawa mordowania ludzi przez tłum bez żadnego dochodzenia i wyroku. Okazuje się, że takie prawo w Ameryce istnieje i obowiązuje. Istnieją także ludzie, którzy go bronią i debata na ten temat zapowiada się gorąca.

A kim jest Henry Wallace człowiek, który odważnie jako jeden z pierwszych wydobył na jaw nastroje nurtujące znaczną część społeczeństwa amerykańskiego?

Wallace pochodzi ze stanu Iowa i zajmował się długi czas naukowymi badaniami rolniczymi redagując pismo dla farmerów, których był wielkim przyjacielem. Franklin Roosevelt, który lubił „kolekcjonować" ludzi różnych typów i charakterów sprowadził go do Waszyngtonu i powierzył mu Ministerstwo Rolnictwa. Jednak część partii demokratycznej — wielcy właściciele ziemscy z południa — wywierali silny nacisk na prezydenta który był w końcu zmuszony odwołać Wallace'a ze stanowiska. Po kampanii 1944 roku, w której Wallace położył znaczne zasługi, zaproponowano mu ponownie objęcie teki — tym razem wybrał resort handlu, spodziewając się, że będzie mógł przeprowadzić swój plan pełnego zatrudnienia bezrobotnych.

O Wallace'ie krąży w Ameryce dużo opowiadań i anegdotek. Jedni się nim zachwycają, inni zdecydowanie wyśmiewają. Podobno zaaplikował sobie kiedyś sam dietę polegającą wyłącznie na spożywaniu ziarn soji, aby się przekonać, jak to podziała na organizm ludzki. Wallace nie pije i nie pali, za to studiuje nieustannie i zawzięcie, uprawia sporty, uczy się języków, spośród których włada doskonale hiszpańskim i rosyjskim. Jak charakteryzują go Amerykanie — myśli wiele, lecz nie jest myślicielem, zna zbyt wiele ludzi, by mieć prawdziwych przyjaciół, jest naukowcem, który powoduje się uczuciem, wierzącym, który odrzucił wiarę, człowiekiem, który wciąż szuka i wątpi. Może właśnie teraz odnajduje swoją prawdę?

ZMARTWIENIA P. ORECKIEGO

Prasa polska niejednokrotnie już zamieszczała artykuły w różnej formie atakujące spółdzielczość. Krytyka jest rzeczą słuszną i potrzebną na tym naszym niedoskonałym świecie, a zwłaszcza w Polsce, gdzie tak dużo rzeczy wymaga jeszcze poprawy. Toteż dobrze jest, gdy krytyka operuje przekonywującymi argumentami, przykładami itp. — gorzej natomiast, gdy uprawia się ją w sposób nieprzemyślany, oparty na ogólnikowych, nieusprawiedliwionych zarzutach. I tak „Wyzwolenie", organ PSL—,Nowe Wyzwolenie" w numerze z dn. 28 grudnia r. ub. usiłuje w „Liście ze wsi o spółdzielczości" „wyzwolić" spółdzielczość polską, a przede wszystkim „Społem" z dobrej, zasłużonej opinii.

Autor, Jan Orecki, zarzuca spółdzielczości wynaturzenie idei, ba — „Społem" jest nawet „instytucją nawskroś kapitalistyczną". Autor listu martwi się zbytnim rozrostem „Społem", nadmiarem członków, zakładaniem przez nie fabryk... Autor chciałby zaniechać tworzenia sklepów detalicznych, twierdzi, że trzeba zakładać hurtownie! To jeszcze nie wszystko — w czasie okupacji tylko pracownicy spółdzielni mieli z nich pożytek, klienci nie otrzymywali nic... I tak dalej i tak dalej.

Cóż na to powiedzieć? Pozycja „Społem" zarówno w walce z kapitalizmem jak również niemieckim terrorem gospodarczym i spekulacją prywatno - kupiecką jest zbyt znana i zbyt mocna, by taki „List" mógł jej zaszkodzić! Natomiast nieznajomość struktury „Społem", systemu kontroli przez członków i wielu innych rzeczy z zakresu spółdzielczości i jej zadań, zmusza nas do poradzenia autorowi, by przed pisaniem artykułów zaglądał do fachowych podręczników, których na szczęście nie brak.

Ostrze na ostrze

NIEMIECKIE ZAPUSTY

czyli miłe złego początki

Miłe złego początki — twierdzi stare polskie przysłowie. — Tak więc Rok Nowy zwykle zaczyna się nierozsądnym szaleństwem pod patronatem lekkomyślnego hulaj-duszy jego obywatelskiej mości Karnawału.

Ludzie — duże dzieci, cieszą się Nowym Rokiem — nowa zabawka, która, niestety, po paru tygodniach używania zdradza wszelkie objawy niedoskonałości, traci piękne barwy i zaczyna przybierać postać do złudzenia przypominającą pogardliwie wyrzucony za drzwi Stary Rok. Te same troski, te same obowiązki, codzienne kłopoty życia ludzi wśród ludzi. Gdy i ten rok się kiedyś skończy, rzadko kto powie mu dobre słowo na pożegnanie.

*

Niektóre przejawy życia międzynarodowego mimowoli nasuwają na myśl porównanie: toż to istny karnawał...

Po uroczystym, wzruszającym i obfitym wyprawieniu Świąt Bożego Narodzenia, dobroduszny i wesoły z natury narodek niemiecki spodziewa się obecnie, że kochani przyjaciele zza Kanału i zza Oceanu postarają się zorganizować mu teraz z kolei huczny karnawał. Bo jakże — trzeba przecież być konsekwentnym — po dobrym winku i innych smacznych rzeczach, po wakacjach, urządzonych dla drobnej garstki miliona hitlerowców, przydałby się dla zdrowia na przykład — mały spacerek, ot taki radosny „kulig". Można by się było przejechać chociażby... za Odrę i Nysę... Szkoda tylko, że gospodarze tych ziem nie mają jakoś ochoty na zapraszanie takich gości.

Gospodarze znają bowiem dobrze swoich niemieckich sąsiadów. Starodawnym zwyczajem zapalane przy takich okazjach pochodnie czy karnawałowe lampiony mogłyby ła wo zaprószyć ogień w naszej zagrodzie, kolorowe, drobne konfetti jakoś nieprzyjemnie przypominają małe, okrągłe kulki, a orkiestra, która wysila się na walczyka, potrafi szybko i niespodzianie zmieniać tempo na wojskowe marsze. Znamy takie metamorfozy.

Ale widocznie nie wiedzą o tym nasi zachodni przyjaciele. Beztrosko zapraszają Niemców (biedactwa, takie to jakieś przygnębione trochę ostatnio...) do swego angielskiego walca. Prawdopodobnie przypuszczają, że dostojne, powolne jego tempo wpłynie uszlachetniająco na krewkie, niemieckie duszyczki.

Tymczasem owe duszyczki — również karnawałowym zwyczajem — pozakładały filuterne maseczki. Najpopularniejszy strój niemieckiego karnawału — to t. zw. „Demokracja". Bardzo piękny strój maskaradowy. Podobno hożej Germanii jest w nim niezwykle do twarzy. Używane są także przebrania za „Aniołów" oraz „niewinne, nieświadome ofiary hitleryzmu". Bardzo się to wszystko zacnym, poczciwym opiekunom podoba. I tak zabawa wre.

My jednak chcielibyśmy wiedzieć, co z tego wszystkiego wyniknie? Jesteśmy realistami. Może to i smutne, że taka wesoła zabawa, pełna czaru, uroku i... złudzeń, nas nie cieszy. Już tak nas nauczyło niewesołe życie.

Więc pytamy: co to będzie, kiedy karnawał się skończy? Kto będzie pokutować w Popielec? I — jeżeli rozochoceni zabawą Niemcy rozpędzą się i będą chcieli np. znów wybijać spokojnym sąsiadom szyby w oknach oraz na świecie od nowa „draki uskuteczniać", — mówiąc stylem Wiecha— kto nam te szyby będzie wprawiał? Uważamy, że za dotychczasowe wybryki rozhukanych Fryców należy im się dobre frycowe i nie karnawał, a KAR NAWAŁ.

Radzimy naszym przyjaciołom zdjąć maseczkę z oblicza niemieckiego towarzysza zabawy i dobrze przyjrzeć się, z kim mają do czynienia.

AVIS

NASZA OKŁADKA



Przed wyborami — afisze agitacyjne wzywają wyborców.

(fot. Film Polski)

NAGRODA „TYGODNIA"

Dziwią się niektórzy, że „Tydzień" ustanowił nagrodę za najlepszą książkę danego roku i że w związku z tym przeprowadza głosowanie swoich czytelników.

— Nie jesteście przecież pismem literackim czy macie zamiar zmienić swój charakter?

Odpowiadamy na to:

— Istotnie, „Tydzień" nie jest pismem literackim, a interesuje się i zamierza się interesować wszelkimi objawami życia. Dlatego też ważne jest, jak wypadnie opinia naszych czytelników o współczesnej literaturze polskiej. Przy ocenie literatury bowiem ważna jest nie tylko opinia fachowców, ale i zwykłych ludzi, czytelników książek. Ta opinia stanowić może cenną wskazówkę dla naszych twórców, pisarzy i poetów. Dlatego też nagroda „Tygodnia" przyznana będzie zarówno przez głosowanie czytelników jak i na podstawie decyzji fachowego sądu. Wynik głosowania może być bardzo ciekawy i pouczający.

AMERYKAŃSCY NUNCJUSZE

Bez rozgłosu, po cichu dokonał się wielki przewrót w dyplomacji watykańskiej. Oto przedstawicielami papieża w Bukareszcie i w Belgradzie mianowani zostali nie Włosi, ale Amerykanie. Oficjalny komentarz do faktu tego podaje, że Watykan sądzi, iż prałatom amerykańskim łatwiej będzie nawiązać dobre stosunki z rządami rumuńskim i jugosłowiańskim niż prałatom włoskim. Z drugiej strony te awanse katolików amerykańskich potwierdzają liczne objawy i pogłoski głoszące, iż Watykan od czasu zajęcia Rzymu przez wojska alianckie pozostaje pod przemożnym wpływem Stanów Zjednoczonych. Najwpływowszym człowiekiem w Watykanie ma być dzisiaj kardynał Spillman, arcybiskup New-Yorku.

TĘSKNOTA ZA HITLEREM

Amerykanie zadali sobie trud przeprowadzenia wśród młodzieży niemieckiej w swej strefie okupacyjnej ankiety, która dała dość nieoczekiwane dla nich rezultaty. Z wyników ankiety bije jawna tęsknota za Hitlerem i za ustrojem narodowo-socjalistycznym. Dla wielu nie zaślepionych taki wynik ankiety nie jest bynajmniej rewelacją. Ale dla Amerykanów, którzy czynią wszystko dla wychowania Niemców w duchu demokracji musiał to być cios nie lada.

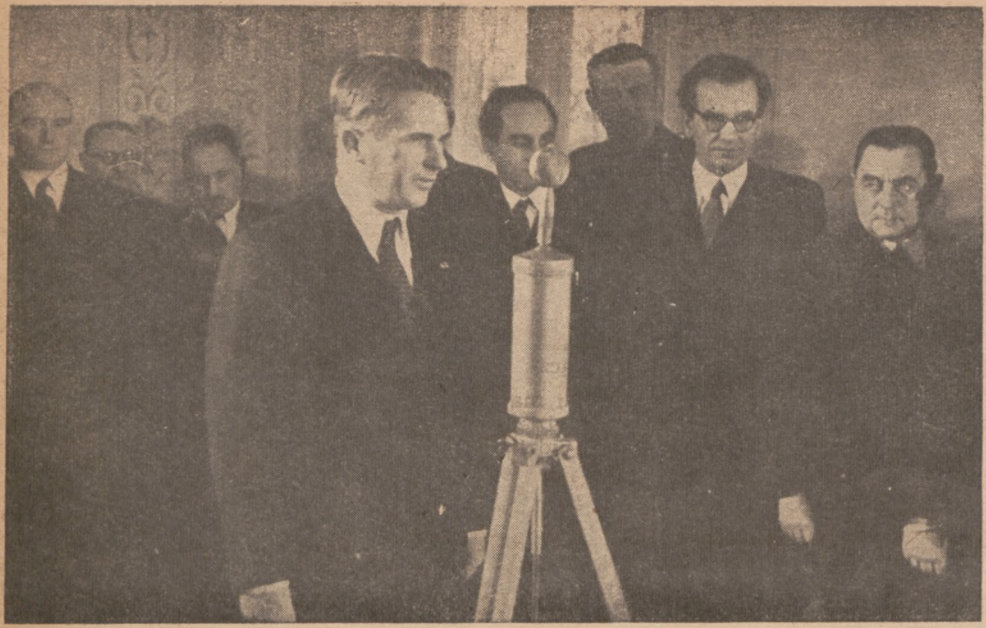
Oto jedna z najbardziej charakterystycznych odpowiedzi:

„Byliśmy dobrze żywieni i odziani. Wszystkie nasze dobre czasy zawdzięczamy Hitlerowi". (Oczywiście, Hitler żywił i odziewał Niemców, obdzierając inne narody ze wszelkiego dobra. Taki niemiecki Janosik).

A oto inna odpowiedź: „Co się stanie z nie Niemcami — to nas nie interesuje". (To znów jest nauka Goeringa, który twierdził, że może cała Europa wymrzeć z głodu, ale Niemcy opływać będą we wszystko).

I jeszcze jedna: „To było bardzo miłe — mundury, marsze i wspólne przebywanie".

Zdaje się, że proces demokratyzacji Niemców trzeba zacząć od niemowląt, które nie znały Hitlera.



W dniu Nowego Roku premier Osóbka-Morawski kieruje przez radio życzenia do wszystkich Polaków. (fot. Film Polski)



Przedstawiciele spółdzielczości z prezesem „Społem" J. Żerkowskim składają życzenia noworoczne prezydentowi Bierutowi. (fot. Film Polski)



Proces WINU w Warszawie. Dnia 4.I 1947 rozpoczął się proces Rzepeckiego i 11 [illegible] członków organizacji WIN. Na zdjęciu zeznaje Rzepecki.



W Warszawie dn. 4.I 1947 r. w gmachu Centr. Urzędu Planowania została otwarta wystawa dotychczasowych osiągnięć w gospodarce ogólno-państwowej i 3-letniego Planu Odbudowy Gospodarczej.

WIADOMOŚCI SPORTOWE

W drużynowych mistrzostwach bokserskich Polski tym razem nie było żadnych większych niespodzianek. Warta odniosła zwycięstwo we Wrocławiu 10:6. Jedyną niespodzianką w ramach tego spotkania była przegrana Polusa i wynik remisowy Koziołka z Miszczukiem. Warszawski Grochów zdobył dwa punkty w Bydgoszczy walcząc ze Zjednoczonymi. Pięściarze Bydgoszczy przegrali 9:7. Szkoda, że nie mógł walczyć Wikliński. W Lublinie Batory ze Śląska pokonał miejscową Lubliniankę 10:6. Drużyna milicyjnego KS z Gdańska pokonała Wisłę krakowską 9:7, a w Łodzi ŁKS uzyskał rewelacyjny wynik z mistrzem Częstochowy 16:0. Wynik ten jest dotychczas nienotowanym zwycięstwem w mistrzostwach Polski. ŁKS jest obecnie faworytem mistrzostw drużynowych Polski. Mistrzostwa te przeciągną się do połowy kwietnia. Niemniej jednak trzymać one nas będą przez trzy miesiące w napięciu nerwowego wyczekiwania na spotkanie finalistów dwóch grup. Nie ulega zdaje się wątpliwości, że w pierwszej grupie mistrzem zostanie Grochów względnie Warta, a w drugiej ŁKS.

Pięściarze polscy czynią przygotowania techniczne przed mającym się odbyć w lutym meczem międzypaństwowym z Czechami. Czesi w Polsce mają zamiar rozegrać dwa spotkania. Jedno z reprezentacją właściwą Polski, a drugie z reprezentacją Polski Środkowej. Ten drugi mecz ma się odbyć 5 lutego w Łodzi.

Sezon hokejowy. Ostatnio mamy do zanotowania dwa rozegrane mecze towarzyskie między ŁKS a Lechią z Poznania. Mecze te były o tyle ciekawe, że poprzedni mecz rozegrany w Poznaniu przed świętami zakończył się zwycięstwem Poznania 2:0, a drugi zwycięstwem ŁKS 3:2. Niestety dwudziestostopniowy mróz odstraszył publiczność od wybrania się na lodowisko. Oba te mecze były wyjątkowo ciekawe i stały na wysokim poziomie. Tym razem zwycięstwo odnieśli Łodzianie zwyciężając 4:1 i 3:1. Najlepszymi graczami w ŁKS byli: Kelm, Meternich, Sokołowski, Czyżewski i Król, a w drużynie poznańskiej wyróżnili się Nuszel, Nowak, dr. Kasprzak i bramkarz Muszczyński.

W niedzielę 12 bm. odbędą się eliminacyjne zawody rewanżowe w hokejowych mistrzostwach Polski. ŁKS spotka się w Warszawie z Legią, a Lechia poznańska z Pomorzaninem z Torunia. Na Śląsku grać będzie Wisła z Siemianowiczanką. Finały mistrzostw Polski odbędą się w Łodzi w końcu stycznia.

Szermierze wojskowi wybierają się do Paryża na międzynarodowe zawody państw alianckich. Polskę reprezentować między innymi będą Szempliński, por. Fokt, kpt. Brzeziński.

J. N.



Nagrodę Goncourtów na rok 1946 otrzymał p. Jean Jacques Gauthier za książkę p.t. „Histoire d'un fait divers".



W Chesham Bucks odbył się w ubiegłym miesiącu mecz piłkarski pomiędzy miejscową drużyną polską a policją Metropolii w Chesham, zakończony zwycięstwem Polaków. Na zdjęciu: jeden z atakujących Polaków usiłuje strzelić piłkę do bramki.



Polacy obserwują przebieg gry z wysokości zaimprowizowanej trybuny.

KOBIETA SOWIECKA
W OCZACH KOBIETY POLSKIEJ
(Wywiad ze Strusińską)

Wysłannik „Tygodnia" przeprowadził rozmowę z p. Krystyną Strusińską wiceprezesem Związku Rewizyjnego Spółdzielni R. P. jedynej kobiety uczestniczki wizyty spółdzielców polskich w ZSRR.

Pani Strusińska interesowała się szczególnie zagadnieniem człowieka w spółdzielczości radzieckiej.

— Czy według pani spostrzeżeń spółdzielczość w ZSRR ma charakter ruchu ogólnego?

Niewątpliwie tak jest. Najlepszym tego dowodem jest frekwencja członków na zebraniach dochodząca często do 100%. Zjawisko niespotykane w żadnym innym kraju.



Kobieta radziecka przy pracy.

— Czy pani zdaniem działają tu momenty bezpośredniej atrakcyjności gospodarczej czy też inne?

— Atrakcyjność gospodarcza oczywiście istnieje. Członkowie otrzymują 20% czystej nadwyżki niezależnie od dokonanych zakupów. Niektóre towary, trudne do nabycia, sprzedawane są wyłącznie członkom. Sklep spółdzielczy na wsi zaspakaja wszystkie potrzeby jej mieszkańców. Jest to sklep uniwersalny w zakresie artykułów spożywczych i przedmiotów użytkowych pochodzenia przemysłowego. Podziwiałam bogaty asortyment wiejskich sklepów spółdzielczych począwszy od zabawek dla dzieci, kończąc na płycie patefonowej.

Jednakże wydaje mi się, iż czynnik bezpośredniej korzyści materialnej nie jest decydujący w ustosunkowaniu się ludzi do spółdzielczości w ZSRR. Tajemnica leży tu raczej w ogromnym uspołecznieniu tamtejszej ludności i jej zapale dla budowania przyszłości. Widzi ona w spółdzielczości jeden z ważnych czynników budowania jutra. Zresztą muszę podkreślić, iż ruch spółdzielczy posiada u ludu rosyjskiego głęboko sięgające tradycje. Spółdzielczość pracy wyrasta tam wprost z dawnych ludowych arteli. Nowoczesne formy spółdzielczości spożywców wytworzyły się tam już w końcu XIX wieku i stanowiły jeden z elementów dojrzewającego przewrotu socjalnego. Warunki dla pełnego rozwoju znalazła jednak spółdzielczość dopiero po rewolucji.

— Jaki jest udział kobiet w ruchu spółdzielczym?

— Zacznę od tego, iż w ogóle udział kobiet w życiu społecznym i w życiu zawodowym jest w ZSRR bardzo poważny. bez porównania większy niż u nas, w niektórych dziedzinach kobiety nawet majoryzują mężczyzn. Nie mówię tu o tradycyjnych zawodach żeńskich. Często spotykałam kobiety zatrudnione budową torów, zrywaniem szyn, pracami murarskimi i ziemnymi. Obsługę wspaniałego metra moskiewskiego stanowią prawie wyłącznie kobiety z dyrektorem kobietą w randze generała na czele. Widziałam również kobietę szewca. Okazuje się, zupełnie dobrego. W życiu społecznym kobieta nie ma tutaj w żadnym stopniu, obserwowanego w wielu innych krajach, kompleksu niższości. Można ją spotkać na wszystkich stanowiskach z Najwyższą Radą Związku Socjalistycznych Republik Rad włącznie.

Na tym tle zrozumiały jest żywy i masowy udział kobiet w życiu spółdzielczości. Biorą one nie tylko czynny udział w zebraniach ale również zajmują stanowiska kierownicze, wnosząc wiele inicjatywy i zdolności organizacyjnych. Fakty te obalają zakorzenione przesądy o rzekomej wrodzonej niezdolności kobiet do pełnienia szeregu zawodów oraz funkcji społecznych, zwłaszcza kierowniczych.



I elegancja nie jest jej obca — jak informuje dział mód pisma „Sowiecka kobieta".

SKLEROZA

SZCZEŚCIARZ

W ubiegłym tygodniu nagrodę 150 zł otrzymała Maria Popowska (Łódź, ul. Narutowicza 120 m. 4) za nadesłanie następującego wycinka z powieści sensacyjnej Anatola Mikułki p. t. „W pogoni" („Dziennik Łódzki" Nr 313/500):

O kilka kroków od Andrzeja długimi wstęgami podnosi się kurz. Wstęgi te błyskawicznie krzyżują się i biegną w żyto, które kołysze się od lamentu kobiet i przerażającego pisku dzieci. Gdyby nie słup telegraficzny, Andrzej zginąłby niechybnie od kul karabinów maszynowych, które niby kosa wysiekły nawet bujnie rosnącą trawę. Rozlega się przeraźliwy gwizd spadających bomb. Bomby zagłuszają wszystko. Płatami fruwa darnina. Silny prąd powietrza oderwał Andrzeja od słupa i powalił na ziemię. Gdy warkot motorów oddalił się, ucichły detonacje i umilkły strzały, Andrzej wstał cały zakurzony. Przetarł oczy z piasku i rozejrzał się.

Rozejrzawszy się, stwierdził z zadowoleniem, że słup telegraficzny jak stał, tak stoi. Nie słychać już lamentu kobiet i przerażającego pisku dzieci, od którego kołysało się żyto. Karabiny maszynowe niby kosa wysiekły nawet trawę. Od bomb pofrunęła nawet darnina. Świat się skończył. Ale słup, który obronił Andrzeja, stoi. Andrzej poklepał go przyjaźnie i rzekł: „Dziękuję ci, żeś mnie ocalił. Gdyby nie to, zginąłbym, i powieść musiałaby się przedwcześnie skończyć."

Opłatek Pracowników Oddziału Włókienniczego Nr 2 Zw. Gosp. „Społem"

W dniu 4 stycznia staraniem Rady Zakładowej i Dyrekcji Oddziału Włókienniczego Nr 2 Związku Gospodarczego „Społem" odbyła się w świetlicy uroczystość opłatka, która zgromadziła przeszło 250 osób. Po odśpiewaniu hymnu spółdzielczego uroczystość zagaił kierownik Poznański witając zebranych. Z kolei przemawiali kierownik Giełzak, który dziękował pracownikom za ofiarną pracę wykonywaną nieraz w trudnych warunkach. Z ramienia Min. Aprowizacji przemawiał delegat dyr. Skinder składając zebranym życzenia owocnej pracy.

Przy dźwiękach orkiestry Związku Pracowników Spółdzielczych odśpiewano szereg kolęd.

Następnie przemówienie okolicznościowe wygłosił do zebranych zawsze gorąco witany dyr. Zawadzki. Mówił o zadaniach na najbliższą przyszłość jakie ciążą w obecnym ustroju gospodarczym na spółdzielcach, o ideowym wychowaniu spółdzielcy i pracy jaka ich czeka. W przemówieniu tym przebijała wiara w ideę spółdzielczą i jasną przyszłość.

Po części oficjalnej wykonano kilka utworów fortepianowych. Wspólną wieczerzą, w miłej atmosferze koleżeńskiej, zakończono uroczystość.

Z-

SUBLIMACJA

Rok ubiegły był rokiem jubileuszowym Sienkiewicza: przypominaliśmy sobie setną rocznicę jego urodzin, trzydziestą śmierci i pięćdziesiątą wyjścia w świat „Quo Vadis" (1846, 1916, 1896). Rocznice te uświetniono nowymi wydaniami wielu dzieł pisarza (nowel, Krzyżaków, W pustyni i w puszczy. Quo Vadis) oraz zaznaczono szeregiem artykułów o nim w różnych pismach. Pisma katolickie nagół gloryfikowały Sienkiewicza; pisma postępowe i marksistowskie zajmowały nagół wobec niego stanowisko krytyczne i rewizjonistyczne. Te dwie krańcowości w ujęciu wielkiego pisarza potwierdzały do pewnego stopnia opinię Norwida o zmyśle krytycznym Polaków: my Polacy — powiedział on — umiemy albo wielbić się albo potępiać, ale nie umiemy różnić się pięknie i mądrze.

Zapewne nikt z pisarzów polskich nie zrobił tak zawrotnej kariery literackiej jak Sienkiewicz, i być może niewielu pisarzy światowych dorównywa mu w tej karierze, w popularności, w rozgłosie: „Quo Vadis" było tłumaczone na 27 języków świata. Jeżeli Stefan Papée w „Odrodzeniu" (Nr 51/52) przytacza nieco ironicznie, że imionami bohaterów „Quo Vadis" nazywano w swoim czasie w Europie, atletów, bokserów i konie wyścigowe a nawet kokoty, doprawdy nie jest to zarzut, uczyniony Sienkiewiczowi, a raczej pochwała jego, biorąc rzecz zwłaszcza z modnego dziś stanowiska „upowszechnienia" kultury: fakt powyższy świadczy o tym, że nie było w Europie i w Ameryce piśmiennego człowieka, któryby nie czytał „Quo Vadis". Niejeden dziś literat polski chciałby doczekać takiej popularności. I napewno sprawię przyjemność jednemu z nich, jeśli powiem, że zatrzymawszy się niedawno w maleńkiej mieścince prowincjonalnej, usłyszałem jeszcze w mniejszym hoteliku, jak gospodarz jego mówił do żony o jakiejś sympatycznej na oko kobiecinie: „O przyszła znowu ta pchła szachrajka". Napoleon był też popularny, a imieniem Hindenburga ochrzczono w Niemczech gatunek cygar. Ale nie ma bardziej zazdrosnych ludzi nad literatów, i są i dziś jeszcze w Polsce tacy, w których laury Sienkiewicza sprzed pół wieku wywołują ironię i złośliwości, zamiast ich cieszyć, że był jednak taki Polak, co to — panie dzieju — „podbijał świat niewdzięczną polską mową", jakby powiedział Słonimski, i to w tej epoce, gdy o Polakach na świecie mało mówiono i mało wiedziano.

Inna rzecz tylko, czy dzieła Sienkiewicza zasługiwały na popularność i „upowszechnienie", czy zawierały dostateczne wartości moralne, artystyczne i społeczne, czy wpływały na najszersze masy czytelników dodatnio. Jakże trudno wydać pod tym względem sąd nieodwołalny! Jak rozbieżne ferowano o Sienkiewiczu wyroki! Taki np. endek jak Nowaczyński odzywał się sarkastycznie o Sienkiewiczu, że „patrzy na świat przez rurę od barszczu" a postępowiec — Wilhelm Feldman — dowodził, że „czar Sienkiewicza spływa na wszystkie serca" i z czaru tego „w roku 1904 będzie czerpał karm dla swej wyobraźni Stefan Okrzeja, bohater proletariatu polskiego". Stefan Papée cytuje, między innymi zdanie Anatola France'a, który, po przyznaniu Sienkiewiczowi w r. 1905 nagrody Nobla za „Quo Vadis", „odezwał się zgryźliwie" o tym arcydziele. Prof. Konrad Górski, pisarz katolicki, rozpatrując w „Tygodniku Powszechnym" (Nr 19/60) twórczość Sienkiewicza, stwierdza, ex cathedra: „Za najtrwalszą podstawę aktualności i żywotności pisarskiej Sienkiewicza uważam Trylogię... Natomiast Rodzinę Połanieckich i w dużym stopniu Quo Vadis uważam za utwory martwe". Przeciwstawmy sądowi France'a sąd Lwa Tołstoja, a sądowi Górskiego sąd Górki, i wszystko wypadnie na odwrót. Górka właśnie Trylogię uważał za najbardziej chybione dzieło Sienkiewicza, Tołstoj zaś w r. 1896 tak pisze do żony: „Je suis resté chez moi, et après nous avons lu toute la soirée — c'est moi qui lisait — La famille des Połaniecki avec un grand plaisir. C'est un exellent écrivain, noble, intélligent et décrivant la vie dans toute son étendue et pas seulement les nihilistes comme font les nôtres". („Pozostałem u siebie, i czytaliśmy potem cały wieczór — ja czytałem na głos — z wielką przyjemnością Rodzinę Połanieckich. Jest to znakomity pisarz, szlachetny, rozumny i opisujący życie w całej jego rozciągłości, nie tylko nihilistów, jak to czynią nasi pisarze"). Powiedzmyż teraz bezstronnie, czyja opinia może być bardziej przekonywująca: prof. Górskiego i ironisty France'a czy wielkiego moralisty Tołstoja?

Jest jeden pisarz europejski, którego wysoko cenię ze względu na jego prawdziwie chrześcijański stosunek do życia — chrześcijański w sensie praktycznym, codziennym, powszednim. To Chesterton, obrońca „rzeczy wzgardzonych", rozumiejący „pokorę" i franciszkańską „radość życia". Mam zawsze w pamięci jeden z jego „paradoksalnych" aforyzmów: „Pokora jest matką olbrzymów: z doliny widzi się wielkie rzeczy; ze szczytu góry tylko małe". Ciekawe jest, coby Chesterton powiedział o twórczości Sienkiewicza, zwłaszcza o Quo Vadis. Może po prostu spojrzałby na Quo Vadis jak na wspaniałą powieść detektywną — on, który pisał rozprawy o potrzebie powieści detektywnych i romansu brukowego. Wyraził się przecie tak: „Zasadnicza wartość opowiadań detektywnych tkwi w fakcie, że stanowią one najwcześniejszy i jedyny przejaw literatury **popularnej**, w którym zaznacza się zmysł do odczuwania **poezji życia**". Czyż historia Ligii i Winicjusza, wszystkie ich przygody i rola w nich Chilona jako Sherlocka Holmesa — czy wszystko to nie jest „detektywizm", opromieniony „poezją życia"? I czyż ze stanowiska „detektywizmu" rzecz biorąc, nie możnaby utrzymywać, że największe, najgenialniejsze dzieła literatury zawierają w sobie pierwiastek detektywny? Odysseja i Don Kichot, tragedie Szekspira i powieści Dickensa, cała Komedia Ludzka Balzaka i cały Dostojewski ze „Zbrodnią i karą" i „Braćmi Kamarazow"? Wszystko to jest tak samo detektywne jak „Trzech muszkieterów", „Hrabia Monte Christo" czy też Conan Doyle. Wielkość pisarza i istota zagadnienia polega tylko na sztuce sublimacji czyli uszlachetniania elementów swego tworzywa artystycznego, podobnie jak wielkość charakteru, każdego człowieka, jego wartość moralna polega na uszlachetnianiu powszedniości i codzienności życia. W ten sposób wydobywa się z życia poezję. Nie każdy z przeciętnych ludzi i nie każdy z artystów umie to robić w równym stopniu i równie doskonale. Nie każdy też krawiec szyje jednakowo pięknie. Toteż, gdy się mówi o twórcach i artystach, którzy już przeszli próbę czasu, można ostatecznie kierować się tzw. gustem, o którym — jak wiadomo — non est disputandum. Można powiedzieć: wolę Goyę od Rafaela, wolę Stendhala od Prusa, ale nie można zaprzeczać ich swoistej wielkości artystycznej.

Jerzy Wyszomirski.

SPRAWCA ZNISZCZENIA WARSZAWY



von dem Bach

Jednym z koronnych świadków w procesie Fischera i tow. będzie obergruppenführer Erich von dem Bach-Żelewski, sprawca zniszczenia Warszawy.

Erich von dem Bach Żelewski urodził się w 1899 roku na Pomorzu. Był on jako generał broni S.S. dowódca jednostek bojowych przeciwpartyzanckich. Polska stała się terenem jego działalności z chwilą ogłoszenia jej terytorium jako teren partyzancki, co nastąpiło już z chwilą pojawienia się pierwszych forpoczt partyzanckich radzieckich na linii Bugu. Od tej chwili wojska niemieckie na mocy specjalnego rozkazu otrzymały prawo bezkarnego mordowania ludności cywilnej, nawet bez pozoru jakiegokolwiek sądu. Z chwilą wybuchu powstania warszawskiego von dem Bach otrzymał specjalne pełnomocnictwa dla jego zdławienia. Jego zadaniem było skoordynowanie wysiłku wszystkich jednostek zajętych zwalczaniem powstania. Wśród tych jednostek znajdowała się m. in. osławiona brygada Dirlewangera, składająca się z zawodowych kryminalistów, rekrutowanych z więzień i obozów koncentracyjnych. Stanowiła ona czołówki jednostek niemieckich, które prowadziły główny atak. Według zeznań von den Bacha brygada ta prowadziła atak na głównej szosie Poznań—Warszawa skąd przerzuciła się w kierunku na Plac Zamkowy. Przeniknęła dalej, niż jakiekolwiek inne oddziały i nawiązała łączność z całkowicie otoczonym w pałacu brülowskim komendantem miasta generałem Stahelem. Członkowie tej brygady, podobnie jak i sprowadzeni specjalnie własowcy, odznaczali się szczególnym okrucieństwem w stosunku do ludności cywilnej.

Generał von dem Bach znajduje się w dyspozycji Międzynarodowego Trybunału Wojennego w Norymberdze. W styczniu 1946 roku był przesłuchany przez delegata polskiego przy tym Trybunale. Zeznał on m. in. że Hitler i Himmler wydali specjalny rozkaz odnośnie sposobu prowadzenia walki w Warszawie i postępowania z miastem i jej mieszkańcami. W myśl tego rozkazu wzięci do niewoli powstańcy mieli być zabijani bez względu na to, czy walczą zgodnie z zasadami Konwencji Haskiej, czy też nie. Niewalcząca część ludności, kobiety i dzieci miałyby być również całkowicie wymordowane. Całe miasto miało być zrównane z ziemią.

Von dem Bach przyznaje, iż w Warszawie popełniono okrucieństwa i zbrodnie niezgodne z jakimkolwiek prawem i poczuciem ludzkości. Przyjmuje na siebie odpowiedzialność za zbrodnie popełnione przez wojsko, jakkolwiek tłumaczy się, że o większości tych zbrodni i rabunku nie wiedział. Tłumacząc się w ten sposób von dem Bach wyraził się o żołnierzach niemieckich w Warszawie, iż byli to „złodzieje a nie żołnierze" i „stado świń nie żołnierze". Mówił również, że osobą, odpowiedzialną za rabunek całkowitego mienia mieszkańców stolicy pozostawionego przez nich podczas ewakuacji jest Fischer. Rabunek ewakuowanej Warszawy nastąpił wbrew zapewnieniu, udzielonemu przez von dem Bacha ludności. Również wbrew temu zapewnieniu ewakuowana z Warszawy ludność wywożona była częściowo do obozów śmierci. Von dem Bach czyni za to odpowiedzialnym Fischera i inne organy cywilne.

W aktach sprawy o zburzenie Warszawy znajduje się depesza zawierająca rozkaz Hitlera o zburzeniu Warszawy, jak również dokument zatytułowany „dotyczy nowej polityki w sprawie Polski". Odnośny ustęp brzmi następująco: „Obergruppenführer von dem Bach otrzymał nowy rozkaz. Warszawę należy spacyfikować, to znaczy jeszcze w ciągu wojny zrównać z ziemią, o ile konieczności wojskowe, związane z umocnieniami nie stoją temu na przeszkodzie. Przed zburzeniem należy usunąć wszystkie surowce, tekstylia i meble. Główne zadanie spoczywa na administracji cywilnej. Powyższe podaję do wiadomości, ponieważ ten nowy rozkaz Führera o zburzeniu Warszawy ma olbrzymie znaczenie dla nowej polityki w sprawie Polski. Podpisane: Gubernator Dystryktu Warszawa czasowo w Sochaczewie dr. Fischer".

Gen. von dem Bach stanie przed pulpitem dla świadków Najwyższego Trybunału Narodowego w Warszawie w procesie Fischera.

Czy i kiedy zasiądzie on na ławie oskarżonych, jako główny winowajca zniszczeń i okrucieństw popełnionych podczas tłumienia powstania warszawskiego?

Na razie von dem Bach zostanie sądowi polskiemu jedynie „wypożyczony" przez Najwyższy Trybunał Wojenny w Norymberdze dla złożenia zeznań w procesie Fischera. Po tych zeznaniach będzie odesłany z powrotem do Norymbergi. Jak się dowiadujemy, decyzja, gdzie i przez kogo sądzony będzie von dem Bach jeszcze nie zapadła. Stanie on albo przed polskim Najwyższym Trybunałem Narodowym albo też będzie sądzony w procesie generałów hitlerowskich przed Trybunałem norymberskim.

ŚWIĘTO POLSKIEJ KINEMATOGRAFII

„ZAKAZANE PIOSENKI"

Pierwszy powojenny film długometrażowy

Po długich przygotowaniach i licznych zapowiedziach został ukończony montaż pierwszego powojennego, długometrażowego filmu polskiego p.t. „Zakazane piosenki" osnutego na tle minionych walk z okupantem. Film ten, starannie przygotowany ukaże się już w najbliższych dniach na ekranach większych miast Polski. Zainteresowanie nim w społeczeństwie jest bardzo duże, toteż będzie miał zapewnione wielkie powodzenie i dotrze do najdalszych zakątków kraju. Główne role w tym filmie odtwarzają znani artyści: Danuta Szaflarska, Jacek Woszczerowicz i Jan Kurnakowicz.



Scen[illegible] przez Gestapo bohaterki filmu „Zakazane Piosenki".
(fot. Film Polski)



Danuta Szaflarska odtwarza główną rolę kobiecą w filmie „Zakazane Piosenki".
(fot. Film Polski)

Zdzisław Alter Zieniewicz ppor.

OSTATNIA AKCJA KAPRALA „FULA"

Była piękna sierpniowa noc. Pełny, roześmiany księżyc oblewał poświatą cały las, pogrążony w pozornej ciszy. Wysmukłe sosny i świerki kładły długie cienie, a małe leśne polanki zaciekawiały swoją tajemniczością.

Sześć skulonych postaci przemykało się między drzewami, których korony ledwie poruszane były lekkim powiewem. Tak zapewne łagodny i ciepły musi być południowy zefir...

Z daleka dochodził głuchy, potężny, raz wzmagający się, raz znów ściszony grzmot, wstrząsający uśpioną ziemią: gdzieś koło Opatowa czy Łagowa, gdzieś koło Kielc — sowieckie działa i „katiusze" grały melodię śmierci. Przez głowy przemykających się ludzi przelatywały uporczywe myśli: kiedyż już wreszcie będą „oni" u nas? Może jutro, może pojutrze?...



Ubezpieczenie kryje się w krzakach na lewo

Dzisiejsza jednak akcja wskazywała na to, że Czerwona Armia powinna już u nas, w Świętokrzyskiem, lada dzień się pojawić. Rozkaz bowiem brzmiał tak: rozkręcić tory w okolicy Zarzniętej Góry pomiędzy Starachowicami i Wąchockiem, w celu uniemożliwienia ewakuacji maszyn i urządzeń przez Niemców ze słynnych Zakładów Metalowo-Górniczych w Starachowicach.

Zbliżający się z każdym dniem huk dział radzieckich postawił dowództwo obwodu „Basztа" A. K. w Starachowicach, a w szczególności kpt. „Dariusza" — wobec konieczności zajęcia stanowiska wobec nowej rzeczywistości, którą tworzyła bieżąca chwila. Zadecydowano, nie bacząc na różnice ideologiczne, uratować majątek Zakładów, licząc się z tym, że stanowiłyby one poważną twórczą placówkę w powojennej odbudowie przemysłu. Dziwne jedynie wydawało się milczenie, jakaś martwota ze strony oddziałów Armii Ludowej. Czyżby już przeszły linię Wisły i połączyły się w Lubelskiem z oddziałami odrodzonego Wojska Polskiego?

Otrzymany rozkaz, zaskoczył mnie i moją bojówkę. Zmęczeni nocnymi wypadami, chętnie zaszylibyśmy się gdzieś na „melinie", aby dać zasłużony odpoczynek nerwom. O wykonaniu akcji dowiedziałem się ok. godz. 18-ej przez gońca, wysłanego przez dowódcę podobwodu „Barbara" (dawn. „Wola") — por. „Jawora". Polecono mi zebrać ludzi, przygotowywać narzędzia i broń, a punkt zborny naznaczono na kolonii urzędniczej Orłowo w Starachowicach o godz. 21-ej.

Zaczęła się gonitwa po mieście za ukrytymi ludźmi, którzy się nie spod[illegible] akcji na dzisiejszą noc. W końcu udało mi się zebrać kilku z nich, z zastępcą moim — kapralem „Fulem" — Gołaszewskim; dołączyła się do nas również trójka świeżo „upieczonych" podchorążych. Spytacie zapewne o nasze uzbrojenie. Proszę bardzo: mój Colt kalibru 9 mm z dwoma magazynkami i jednym granatem zaczepnym. „Fula" pistolecik typu „F. N." kalibru 6 mm i jeden granat zaczepny, dwie jakieś przedpotopowe „siódemki", z których jedna wstydliwie skrywała jedną tylko sztukę amunicji. Reszta ludzi „uzbrojona" była w wielki klucz szwedzki, młot, oraz łom do podważania szyn. To wszystko, co zdążyliśmy zebrać!

O 9-ej wieczór stanęliśmy w umówionym miejscu na Orłowie. Niespodziewanie zjawił się por. „Jawor", któremu złożyłem raport i dowództwo nad akcją. Osobiście byłem z tego bardzo zadowolony, bo warunki, w jakich wykonać mieliśmy akcję, były wprost paradoksalne.

Wkrótce znaleźliśmy się w lesie. Szliśmy wzdłuż lśniącego toru bocznicy kolejowej, potykając się co chwila o wystające podkłady kolejowe. Soczyste, partyzanckie przekleństwa przerywały leśną ciszę i wplatały się w monotonny, lecz rytmiczny odgłos naszych kroków.

Porucznik zatrzymał nas nagle na zakręcie. Skupiliśmy się, schyleni nad rozłożoną mapą, słabo oświetloną kolejarską lampą.

— Gdzie, według was, byłby najlepszy punkt do rozkręcenia torów? — spytał, patrząc na nas uważnie.

Zapanowało milczenie. Każdy przyglądał się mapie.

— Sądzę, panie poruczniku, że tutaj na zakręcie tej bocznicy! Pociąg pod wpływem siły odśrodkowej, będzie miał większy impet do wywrócenia się — rzuciłem niepewnie.

— Tak, zwiększenie równowagi chwiejnej... dodał jakiś adept konspiracyjnych kursów maturalnych.

— Dobrze by jednak było to zrobić w miejscu, gdzie tor biegnie na nasypie — zaproponował kpr. „Ful"-Gołaszewski.

— Masz rację, Dzidek! — poparłem przyjaciela, lecz w tym momencie przerwał mi porucznik:

— No, to decyduję: rozkręcamy tor na pierwszym zakręcie, bo biegnie on tu jednocześnie na dość wysokim nasypie. Trzech będzie rozkręcać śruby „szwedem" i podważać szyny, trzech zaś musi nas ubezpieczyć. Ci trzej wezmą granaty i pistolety. Amunicji oszczędzać, bo mamy jej mało. Sprawować się cicho i szybko. Ubezpieczenie kryje się w tych krzakach na lewo i pod mostkiem. W razie nieszczęścia wycofujemy się w las!

Doszliśmy do wybranego miejsca i zaraz zabraliśmy się do pracy. Zmienialiśmy się co pół godziny, aby zastąpić zmęczonych kolegów. Robota szła jednak opornie. Śruby nie chciały się łatwo poddać kluczowi, w końcu jednak część ich, wzdłuż jednej strony szyny — została rozkręcona. Rozległ się metaliczny dźwięk uderzenia żelazo o żelazo, sapanie i klątwy partyzantów, nerwowym głosem udzielane rady porucznika. Wtem w uszy nasze wpadł dziwny odgłos... Słychać było dudnienie biegnącego pociągu, zdawało nam się jednak że to jedzie z pewnością jakiś niemiecki transport głównym torem ze Skarżyska na wschód. Robota już nie szła tak jak początkowo. Zaczęliśmy odpoczywać...

Nagle poderwaliśmy się na równe nogi. Z za zakrętu wyłoniła się sapiąca lokomotywa z krótkim łańcuchem przyczepionych krytych wagonów kolejowych. Z komina wraz z dymem wylatywały iskry, z sykiem spadające na ziemię i drzewa.

„Co robić?" — pytanie to przemknęło każdemu z nas przez głowę. Zostawiliśmy narzędzia i zbiegliśmy z nasypu w las. Spojrzeliśmy na porucznika, który początkowo biegł razem z nami, lecz teraz z pistoletem w dłoni szedł do przodu, do pociągu, w biegu krzycząc do nas:

— Zatrzymać pociąg! Zatrzymać pociąg! Wprowadzimy go na rozkręcony tor i zatarasujemy nim drogę!

Podniósł trzymaną w drugiej dłoni latarnię, zatrzymując się przed nadjeżdżającą lokomotywą. Wyskoczyliśmy wszyscy z lasu. Maszynista jednak gwizdnął przeraźliwie i pociąg nabierał szybkości. Strzeliłem w jego stronę z Colta. Strzał rozległ się tysiącznym echem po lesie.

(Dokończenie w następnym numerze)



Zatrzymać pociąg

SPÓŁDZIELCY NA LISTACH BLOKU DEMOKRATYCZNEGO

Na listach Bloku Stronnictw Demokratycznych i Związków Zawodowych, zgłoszonych do wyborów sejmowych, które odbędą się 19 stycznia rb., widnieje szereg nazwisk działaczy spółdzielczych. Jak to bowiem sformułowane zostało w odezwie Spółdzielczości, którą zamieściliśmy w poprzednim numerze „Tygodnia" ten wielki ruch społeczny i gospodarczy wiąże ściśle swój rozwój i swoją przyszłość z obozem demokratycznym i z reformami przezeń przeprowadzanymi.

Niepodobna by było wyliczać wszystkich nazwisk spółdzielców, zamieszczonych na listach okręgowych. Ograniczymy się dzisiaj do podania szeregu najwybitniejszych nazwisk spółdzielców, znajdujących się na czołowych miejscach listy państwowej Bloku Demokratycznego.



BOLESŁAW BIERUT

Urodził się w Lublinie jako syn drobnego rolnika z Tarnobrzeskiego. Za czynny udział w strajku szkolnym wydalony ze szkoły przez władze carskie w 1905 r. Zmuszony przez ciężkie warunki materialne do zarobkowania już w latach dziecinnych, zostaje zecerem. Jest jednym z założycieli stowarzyszenia oświatowego „Przyszłość", wydaje nielegalne pismo, domagające się reform demokratycznych, m. in. dokształcania dorosłych.

W okresie pierwszej wojny światowej rozpoczyna w Lublinie pracę na terenie spółdzielczości. Po skończonej wojnie kontynuuje tę działalność — zajmuje kierownicze stanowiska w Lubelskiej Spółdzielni Spożywców, a następnie w Warszawie w Związku Kooperatyw Robotniczych. Organizuje prócz tego szereg nowych spółdzielni m. in. w Zagłębiu Dąbrowskim. Jako pionier t. zw. niezależnego ruchu spółdzielczego i wybitny działacz lewicowy w 1923 roku zostaje aresztowany i osadzony w więzieniu. Na skutek usilnych starań przyjaciół zostaje zwolniony z więzienia. Kilkakrotnie ponownie aresztowany i zwalniany, wyjeżdża zagranicę, do Berlina, Monachium i Wiednia. Okres ten wykorzystuje dla dalszego kształcenia się.

Po powrocie do kraju w 1933 r. zostaje znów skazany tym razem na 7 lat więzienia za działalność antyfaszystowską. Uwolniony krótko przed wybuchem wojny, zamieszkuje początkowo w Warszawie, następnie w Lublinie, gdzie spędza pierwszy okres wojny. Udaje się do Mińska, ustawicznie prześladowany i poszukiwany przez władze niemieckie. W tym czasie znów pracuje w spółdzielczości.

W 1943 roku przybywa do Warszawy, biorąc udział w pracy konspiracyjnej jako jeden z głównych organizatorów lewicowego ruchu podziemnego. Współdziała w utworzeniu Krajowej Rady Narodowej i zostaje wybrany jej prezydentem. W sierpniu 1944 r. w Lublinie staje już jawnie na jej czele, pozostając na tym odpowiedzialnym stanowisku do dziś.

STANISŁAW SZWALBE

Urodzony w Łodzi w 1896 roku. Gimnazjum kończy w Warszawie, gdzie odbywa na Uniwersytecie studia prawnicze i ekonomiczne. Pochłaniają go zwłaszcza już w owym czasie zagadnienia ruchu spółdzielczego — z biegiem lat staje się czołowym przedstawicielem tego ruchu.

Po usunięciu ze stanowiska w administracji państwowej przez sanację w 1928 roku, poświęca się on całkowicie spółdzielczości. Jest jednym z założycieli Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, powstałej w 1923 r., jednej z największych tego rodzaju instytucji spółdzielczych w Europie. Jednocześnie jest od 1928 do 1939 r. bez przerwy prezesem Społecznego Przedsiębiorstwa Budowlanego oraz wiceprezesem Rady Nadzorczej „Społem" w Warszawie.

W okresie ostatniej wojny kontynuuje pracę w spółdzielczości, jednocześnie po-



wraca do działalności politycznej, przerwanej swego czasu na skutek niezgodności poglądów z przedwojennym kierownictwem PPS. Jest jednym z przywódców lewicowego odłamu PPS — t. zw. Robotniczej Partii Polskich Socjalistów, bierze udział w tworzeniu Krajowej Rady Narodowej w 1943 roku.

Po odzyskaniu niepodległości zostaje powołany do służby publicznej, pełni początkowo funkcje podsekretarza stanu w Prezydium Krajowej Rady Narodowej, po czym zostaje wybrany przez Krajową Radę Narodową jej wiceprezydentem.

JAN ŻERKOWSKI

Jest synem drobnego rolnika. Urodził się 1895 r. Ukończył 8-klasową szkołę prywatną a następnie Wyższą Szkołę Handlową im. A. Zielińskiego w Warszawie. Wkrótce po ukończeniu studiów wyższych związał się z ruchem spółdzielczym, którym interesował się już za czasów akademickich, gdzie brał żywy udział w pracy i formułowaniu myśli socjalistycznej ówczesnej młodzieży akademickiej. Począwszy od 1919 r. zajmuje kierownicze stanowiska w szeregu stowarzyszeń spółdzielczych. Od 1925 r. wchodzi wraz ze Związkiem Robotniczych Spółdzielni Spożywców do Związku Spółdzielni Spożywców RP, który przybrał sobie później nazwę „Społem". Wkrótce wszedł do zarządu Związku „Społem" wraz z R. Mielczarskim i M. Rapackim. Prowadził następnie w tym Związku wydział lustracyjny, który przekształ-



cił się następnie w Związek Rewizyjny. W 1930 r. w Związku „Społem" nastąpił kryzys wskutek opanowania go przez elementy prawicowe. Wówczas J. Żerkowski wystąpił ze „Społem".

Nie rozstał się jednakże z ruchem spółdzielczym, obejmując kierownictwo Krajowej Spółdzielni Spożywców Kolejarzy w Warszawie, którą prowadził do wybuchu wojny i przez cały okres okupacji, po czym w 1945 r. objął stanowisko wiceprezesa zarządu „Społem" Związku Gospodarczego Spółdzielni RP. Dnia 8 maja tegoż roku został wybrany na stanowisko prezesa „Społem".

W maju 1945 r. został powołany z ramienia „Społem" do Krajowej Rady Narodowej z grupy posłów PPS. Na posiedzeniach plenarnych występował kilkakrotnie oświetlając szereg zagadnień państwowych i społecznych z punktu widzenia ruchu spółdzielczego. Znana jest jego praca publicystyczna w prasie i radio oraz liczne wywiady, w których poseł Jan Żerkowski oświetlał rolę spółdzielczości w strukturze Polski odrodzonej.



EDWARD OSÓBKA-MORAWSKI

Urodzony w Bliżynie w 1909 roku jak syn ślusarza od najmłodszych lat po śmie ci ojca zmuszony jest do zarobkowani początkowo jako robotnik budowlany, n stępnie jako pomocnik sekretarza gmi nego w Bliżynie i w Końskich. Od na młodszych lat rozwija czynną działalno polityczną w PPS i spółdzielczą. C 1928 r. jest sekretarzem a od 1929 pr zesem Rady Nadzorczej w Spółdzielni Sp żywców w Końskich, sekretarzem okręg wej rady spółdzielczej, organizatorem sz regu spółdzielni w okręgu, delegatem n krajowe zjazdy spółdzielcze.

Prześladowany bez przerwy przez s nację, zmuszony jest przenieść się do Wa szawy. Rozpoczyna tu pracę w Warszaw skiej Spółdzielni Mieszkaniowej jako b chalter. Następnie zostaje kierownikie pracy społeczno-wychowawczej w Osie lu, potem administratorem Osiedla WS na Rakowcu. Organizuje nową spółdzieln Spożywców w Warszawie na Pradze p. „Wyzwolenie".

Osóbka-Morawski jest również w ty czasie sekretarzem generalnym w Centra nej Sekcji Spółdzielczej TUR, członkie Warszawskiej Rady Okręgowej „Społem członkiem Prezydium Zw. Zawodowe Pracowników Spółdzielczych.

W 1939 roku bierze czynny udział obronie Warszawy, a w okresie konspirac w walce podziemnej w szeregach Polski Partii Socjalistycznej. Nie zgadzając się koncepcją polityczną przedwojennych ki rowników Partii, tworzy nowe ugrupow nie — RPPS i bierze udział w tworzeni Krajowej Rady Narodowej. Wybrany j wiceprzewodniczącym, w Lublinie przewo niczącym PKWR, następnie premiere Rządu Tymczasowego i w 1945 r. — pre mierem Rządu Jedności Narodowej.

STANISŁAW TOŁWIŃSKI



Prezydent m. st. Warszawy, długoletni działacz spółdzielczy i robotniczy. Od 1918 r. bierze udział w zakładaniu i rozwijaniu Związku Robotniczych Stowarzyszeń Spółdzielczych. W 1926 r. organizuje wraz z całą grupą spółdzielców Warszawską Spółdzielnię Mieszkaniową. Pracuje jednocześnie w wielu instytucjach spółdzielczych, jak np. Bank Spółdzielczy „Społem", Instytut Gospodarstwa Społecznego, Naukowy Instytut Spółdzielczy itp. W latach przedwojennych i w czasie wojny kieruje pracami Społecznego Przedsiębiorstwa Budowlanego, instytucji opartej o zasady spółdzielcze. Jest członkiem Krajowej Rady Narodowej od chwili jej utworzenia w 1943 roku.

Przed powołaniem na stanowisko prezydenta m. st. Warszawy piastował stanowisko wiceministra Administracji Publicznej w Rządzie Tymczasowym.

KRYSTYNA STRUSIŃSKA



Urodzona 12.VII.1915 r. w Warszawie, gdzie ukończyła szkołę średnią. W 1934 r. zapisuje się na Wolną Wszechnicę Polską, gdzie studiuje na Wydziale Prawa i Nauk Ekonomiczno - Społecznych. W tym czasie zostaje członkiem Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej. Pracuje w sporcie robotniczym, pełniąc funkcję sekretarza RKS „Skra". Pełni funkcję przewodniczącej Wydziału Kobiecego W.R.S.K.O.

Po wybuchu wojny w 1939 r. nawiązuje kontakt z organizującą się grupą „Młot i Sierp" oraz z Z.W.Z. Aresztowana w lutym 1940 roku zostaje zwolniona po roku pobytu w więzieniu łódzkim.

Po powrocie nawiązuje kontakt z grupą socjalistyczną P.S. „Barykada wolności", która później przekształca się w R.P.P.S.

Powstanie warszawskie przebywa w Warszawie pełniąc funkcję oficera oświatowego A.L.

Bierze czynny udział w organizowaniu administracji miasta Krakowa, poczym pod koniec stycznia 1944 r. udaje się do Lublina. Wchodzi do ciał kierowniczych Partii, Rady Naczelnej i CKW gdzie pełni funkcję skarbnika.

Poszukiwana przez Gestapo zmienia kilkakrotnie nazwisko.

W marcu 1945 r. przechodzi do pracy w spółdzielczości, w której pracuje od 1942 r. Obecnie pełni funkcje wiceprezesa Związku Rewizyjnego Spółdzielni R.P.

Jest posłem do K.R.N. i radną m. Warszawy jeszcze z okresu konspiracji. Odznaczona jest krzyżem Grunwaldu, virtuti militari, medalem za Warszawę, krzyżem partyzanckim i złotym krzyżem zasługi. Za walkę z okupantem otrzymała stopień ppłk.

ALEKSANDER KACZOCHA

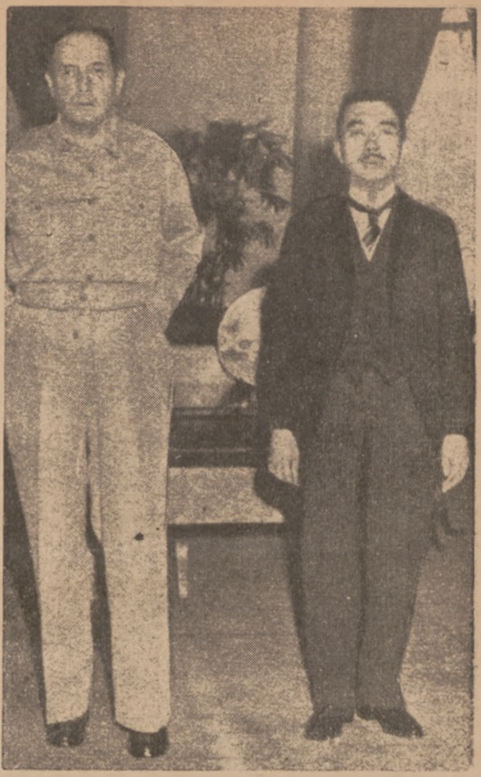


Działalność spółdzie czą rozpoczął jeszcze ławie szkolnej w spó dzielniach uczniowskic Wydatniejszy udział niwie spółdzielczości p wszechnej wykazał na t renie wsi kieleckiej, b dąc kierownikiem szk ły powszechnej, gdzie ciągu 10 lat poświęcił s pracy społecznej na o cinku spółdzielczym, organizując z miejsc wymi chłopami spółdzielnię spożywcz i spółdzielnię mleczarską.

W roku 1938 przenosi się do Warszaw gdzie kontynuując przerwane studia ek nomiczne pracował w Dziale Organizacy nym „Społem" przy boku Stanisława Th gutta i Józefa Dominki. Po przejściu dzi łań wojennych we wrześniu 1939 r. obe muje stanowisko lustratora „Społem" n terenie Okręgu Busko-Stopnica woj. ki leckiego. W styczniu 1942 r. wraca do Wa szawy na stanowisko lustratora spółdziel papierniczo-księgarskich. W ciągu te okresu włącza się w intensywną działa ność konspiracyjną po stronie P.K.W. i Krajowej Rady Narodowej w grupie r dykalnych działaczy ludowych. Po prze ściu frontu w styczniu 1945 r. przechod czasowo do pracy państwowej na różnyc stanowiskach. W kwietniu 1946 r. uchwa Rady Nadzorczej „Społem" Zw. Gosp. S R.P. powołany został na członka Zarząd „Społem" z przydziałem do Wydziału Mle czarsko-Jajczarskiego.

List z Japonii

NIPPON W PÓŁTORA ROKU PO WOJNIE



Gen. Mc Arthur i cesarz Hirohito.

Drogi przyjacielu!

Czynię zadość twej prośbie i postaram ę opisać życie i problemy japońskie w k po zakończeniu wojny. Jest to zadanie udne i niewdzięczne. Jakże dotrzeć do dna problemów bez znajomości egzotyczej mowy? Byłem zdany na łaskę oficerów urzędników władających tym językiem Japończyków mówiących po angielsku. est to krąg o wiele ciaśniejszy niż np. w Niemczech. Nie pozostało mi jednak nic nego jak korzystać z tych ograniczonych ożliwości porozumiewania się.

Problemy Japonii są w wielu wypadkach dobne do dobrze ci znanych zagadnień emieckich, istnieją jednak fundamentale różnice, wypływające zarówno z odrębości psychicznych i socjalnych, jak i z dmiennej struktury władz okupacyjnych.

Japończycy byli i pozostali dla nas za dką, którą rozwiązujemy tylko z truem. Niesposób też dzisiaj przewidzieć kie wnioski wyciągną z obserwacji swoi zwycięzców. Obserwuja nas, Anglików naszych sojuszników amerykańskich z iążliwą drobiazgowością, a mają wielkie olności naśladowania obcych wzorów. becnie odbywa się nowy — drugi w hiorii tego narodu — proces przystosowaa się. Czy jest wynikiem świadomego iałania? Nie wiem, ale skłonny jestem ierzyć, że jest to przede wszystkim podiadomy proces psychiczny.

Pozostawiono Japonii jej monarchię. Cerz rządzi nominalnie dalej przy pomocy ekomo postępowej rady ministrów. Jaki st zasięg ich władzy? Przypatrując się obnym zjawiskom życia codziennego, abrałem przekonania, że wpływy ich sięją znacznie dalej niż życzyć by sobie mo) przedstawiciele władz okupacyjnych i szechpotężny komendant wojsk okupajnych generał Mc Arthur. Admirał Haly, dowódca floty Pacyfiku marzył ongi wjeździe do Tokio na białym rumaku. nerał McArthur, rezygnując z tego zewtrznego blasku, zadowolił się wizytą cerza i sięgnął po rzeczywistą władzę. Japończycy, wchodzący dziś w skład rządu, rawują swoje czynności głównie za jesprawą, wbrew opinii amerykańskiego inistra spraw zagranicznych, który jest leko w Waszyngtonie. Niezadowolenie go kolegów z Sojuszniczej Rady Konoli Japonii nie zakłóca mu również snu. opozycja brytyjska, zmierzająca do zeprowadzenia pewnej reformy rolnej i łabienia wpływów baronów japońskich, stała określona przez McArthura miam niebezpiecznego socjalizmu, a względ cieszą się przedstawiciele konserwy pońskiej. Autorytet McArthura został ezmiernie wzmocniony przez fakt, że zytłaczająca większość wojsk okupacyjch to jednostki amerykańskie. Nasze, ytyjskie oddziały, stacjonują na nieelkim skrawku wokół zburzonej Hiroimy i zbombardowanego Kure, dawnego rodka przemysłu wojennego.

Zdaje się, że uwielbienie siły i potęg ze rony Japończyków jest podstawowym sem ich charakteru. W czasie mojego pou w Tokio wydarzyła się zabawna, ale esłychanie znamienna historia. Jeden z ienników japońskich wydrukował artył wstępny, piętnujący porównywanie nerała McArthura do boga. Skoro bowiem cesarz Hirohito został pozbawiony prerogatyw i nimbu boskości — wielu, szczególnie prostych Japończyków uznało po prostu, że mógł to uczynić tylko ktoś możniejszy od niego. McArthur, otoczony wielką pompą wojskową i propagandową uznany został za wcielenie wszystkich tych przymiotów, które cesarz utracił. Przypomina to poniekąd prymitywną reakcję pierwotnych ludów w dobie wielkich odkryć, gdy biali zdobywcy Meksyku i Peru byli również wynoszeni do godności boskiej. Zdarzenie byłoby może zupełnie banalne, gdyby nie okoliczność, że cenzura amerykańska dowiedziała się o tym artykule dopiero z przekładu, jaki miał się ukazać w „Tokio Times", dzienniku wydawanym w języku angielskim. Cenzor skonfiskował artykuł, dopatrując się w nim próby podważenia autorytetu władz okupacyjnych. Tekst angielski zniszczono, ale japoński dziennik dotarł już dawno do rąk 250.000 czytelników. Historia milczy, czy był to ten sam cenzor, który skonfiskował organ armii amerykańskiej „The Stars and Stripes" za umieszczenie słynnego przemówienia Henry Wallace'a. Wypadek z artykułem o McArthurze dowodzi dobitnie,



Japońscy przestępcy wojenni na ławie oskarżonych, od lewej: premier Tojo, admirał Oka, generał Umezu, generał Araki, generał Muto.

jakie trudności istnieją w nadzorowaniu prasy japońskiej, nie mówiąc już zupełnie o innych środkach oddziaływania na masy. Urządzanie pokazów gry w rugby, kriketa itd. niewątpliwie nie wyrówna tego braku.

Między posunięciami politycznymi naczelnych władz a podstawą prostego żołnierza istnieje przepaść. Wydaje się nie ulegać wątpliwości, że McArthur, zezujący w stronę Białego Domu w Waszyngtonie, chciałby uczynić trwałą zdobycz amerykańską z ujarzmionego gospodarczo i militarnie wroga w oparciu o jakąś grupę społeczeństwa miejscowego w bliżej nieustalonej ramie polityczno-ustrojowej. Żołnierz amerykański, mimo swych uprzedzeń do Japończyków jako do „colored people", zachowuje swoją nonszalancję i uprzejmość wobec kobiet i dzieci, które chętnie obdarza czekoladą i gumą do żucia, nie ujawniając zewnętrznie swych nieprzychylnych uczuć. Nie szczędzi swych zachwytów dla dziewcząt japońskich, ale chętnie daje sobie upust w powiedzonkach w rodzaju:

„Nie głodują, tak jak powinien podbity naród!". „To tylko kwestia czasu, zanim porwą się znowu na nas. Jesteśmy za dobroduszni.". „Nie mogę się przyzwyczaić do chodzenia po tym samym trotuarze co Japończycy!". „To najpaskudniejszy naród na świecie!".

Wypowiedzi, jakie udało mi się uzyskać od Japończyków, nie rzucają żadnego światła na wzajemne stosunki—są jedynie refleksem zewnętrznego ugrzecznienia: „Amerykanie są tacy mili i dziecinni.". „Wszyscy ci żołnierze są tacy młodzi.". „Są tacy grzeczni wobec kobiet i dzieci.". „Zachowują się jak dzieci na wycieczce, a nie jak zdobywcy.".

Tylko zagadnięty 15-letni chłopiec powiedział mi:

„Przyglądam się ich broni. Taka dobra broń, takie porządne mundury i buty. Muszę dobrze poznać tę broń, przecież będę kiedyś walczył przeciwko nim".

Japonia jest krajem pokonanym i odczuwa skutki klęski w stopniu bodaj większym niż Niemcy. Brak jest statystyk, które pozwalałyby na dokładną analizę stanu wyżywienia. Oficjalnie norma żywnościowa wynosi około 1550 kalorii dziennie, tzn. tyle, ile w zachodnich Niemczech; zdaje się jednak, że składniki wyżywienia są niezadowalające, a nie ulega wątpliwości, że standart życiowy Japonii uległ wielkiemu obniżeniu, choć nigdy nie był wysoki. Japonia żyła nie tylko z eksploatacji podbitych i okupowanych krajów Korei, Chin północnych, Mandżurii, Filipin, Indochin i Indii Holenderskich. Zawsze musiała importować ryż i cukier. Import ten dziś nie istnieje, tak jak nie istnieje eksport japoński, chociaż mówi się ostatnio wiele o wznowieniu wywozu jedwabi japońskich. Również rybołóstwo — jedno z podstawowych źródeł wyżywienia tego kraju, przeżywa kryzys z braku taboru morskiego, straszliwie przetrzebionego w czasie wojny.

Żywności jest mniej, a ludności przybywa. Przymusowa repatriacja Japończyków jest rygorystycznie przeprowadzana. Akcja jest jeszcze w toku, ale już blisko 5 milionów Japończyków powróciło na rodzinne wyspy, a ponad 2 miliony przybędzie jeszcze w ciągu najbliższych miesięcy. Możliwości zdobycia warunków egzystencji w kraju ojczystym są znikome.

Tryb życia Japończyków nie uległ poważniejszym zmianom i płynie swoim własnym nurtem. Na ulicach przechadzają się amerykańscy żołnierze, a na ekranach dodatki filmowe, przedstawiające walecznych synów Nipponu, zostały zastąpione zdjęciami z ostatnich manewrów floty czy lotnictwa amerykańskiego, jakąś paradą piechoty lub filmem z Bikini. W teatrze wystawiono sztukę Drinkwatera o „Abrahamie Lincolnie" — słowem, istnieją warunki, aby Japończycy uwierzyli, że zostali pokonani za sprawą jednego tylko z Narodów Zjednoczonych.

Nie wiem, czy twarze Japończyków były zawsze ponure lub ozdobione wyuczonym uśmiechem. Ale nie zdarzyło mi się ujrzeć twarzy japońskiej roześmianej prawdziwie. Znajomy, który poznał ich bliżej w czasie wojennej niewoli, zapewniał mnie, że słyszał tylko raz w życiu żywiołowy śmiech Japończyków. Było to, gdy torturowano jednego z wartowników za dostarczenie jeńcom papierosów. Uśmiech, jakim spotykają dziś Japończycy wszystkich stanów żołnierzy armii okupacyjnej jest sztuczny, jak uśmiech gejsz. Kryje się za nim usłużność i wrogość obcego świata.

William Peters

(Tłumaczył WP.)



Typ repatrianta.



Repatrianci japońscy wracają.

OD ADMINISTRACJI

Poczynając od 1 stycznia 1947 r. wszystkie urzędy pocztowe na terenie całej Polski przyjmują zgłoszenia na prenumeratę „Tygodnia"

ZWIĄZEK ZAWODOWY JEGO KRÓLEWSKIEJ MOŚCI

Niedawno ruch związków zawodowych angielskich „przełamał" bramy pałacu buckinghamskiego, służba bowiem j. k. mości zorganizowana została w specjalnym oddziale Związku Zawod. Pracowników Państwowych (Civil Servants Union), który lada dzień przystąpić ma do ogólnego Związku Związków. Przystąpiono od razu do rzeczy zasadniczej— spisania umowy zbiorowej, w której reprezentantami króla Jerzego VI byli podskarbi królewski sir Aleksander Ulick i majordomus króla sir Piers Legh. Umowa przewiduje 48 godzinny tydzień pracy, przy czym gdyby służba królewska była zmuszona do pracy ponad godziny służbowe — liczy się jej to jako godziny nadliczbowe — tak jak w każdym innym zakładzie pracy. Wszyscy, z wyjątkiem czterech najbardziej konserwatywnych kamerdynerów królewskich, przystąpili do nowego Związku. Król Jerzy VI przeznaczył już salę na zebrania Związku swoich służących. Ta sama sala służyć ma jako sklep rozdzielczy dla artykułów kartkowych i dla stołówki, której utworzenie wchodzi także w zakres działań Związku. Dla uratowania tradycji postanowiono jednak, że do Zarządu Związku wchodzić mogą tylko dżentelmeni w niebieskich frakach (starsi służący), panowie zaś we frakach czerwonych, jako młodsi latami służby i stanowiskiem, stanowić będą grono wyborców. Będzie więc to demokracja typu angielskiego.

S. S.

KTO BĘDZIE PREZYDENTEM FRANCJI?

Wybory do parlamentu francuskiego dały duży wzrost głosów partii komunistycznej, duże zmniejszenie mandatów partii socjalistycznej i pewne zwiększenie wpływów skrajnej prawicy. Obecnie staje przed Francją zagadnienie wyboru prezydenta Republiki, który ma być dokonany w styczniu. Wokół tej sprawy skupia się ogólne zainteresowanie. Powszechnie mówi się o pięciu kandydaturach.

Pierwszą z nich jest kandydatura gen. de Gaulle, którego zamierza wysunąć prawica i prawe skrzydło M. R. P. — partii republikańsko ludowej.

Gen. de Gaulle jest zawodowym wojskowym, którego opinię przed wojną i teorie w sprawie wojny ruchomej zlekceważył ówczesny sztab generalny, ufając całkowicie potędze linii Maginota. Klęska roku 1940 potwierdziła to, co mówił młody teoretyk broni pancernej. De Gaulle emigruje z Francji i tworzy w Londynie Komitet Wyzwolenia Francji, który dalej prowadzi walkę z Niemcami. Po wyzwoleniu Francji generał stoi na czele rządu prowizorycznego, jednak jego dyktatorskie ambicje różnią go ze stronnictwami politycznymi, co powoduje jego ustąpienie i usunięcie się w cień. Ostatnio de Gaulle rozszedł się nawet z własną partią. M. R. P. wzywało do głosowania na nową konstytucję, którą ostro zwalczał generał.

Jest możliwe iż, zamiast de Gaulle'a M. R. P. wysunie inną kandydaturę jednej ze swych czołowych postaci — Francisque Gay'a.



Generał de Gaulle.



Francisque Gay.

Ale i ten kandydat jako gaullista nie uzyska większości i wówczas wypłynie kandydatura kompromisowa obecnego szefa rządu francuskiego Georges Bidault Jest to polityk młody, którego kariera rozpoczęła się w konspiracji. Przed wojną Bidault był profesorem historii w liceum Henryka IV. W czasie okupacji tworzy ruch republikańsko-ludowy i staje na czele Rady Ruchu Oporu. Po wyzwoleniu de Gaulle powołuje go na ministra spraw zagranicznych. Tekę tę zachowuje i obecnie, pełniąc jednocześnie obowiązki szefa rządu.



George Bidault.

Lewica wysuwa dwie kandydatury. Pierwszą z nich jest kandydatura Edwarda Herriot, szefa partii radykałów socjalnych, cieszącego się ogólnym szacunkiem, długoletniego mera Lyonu, wielokrotnego premiera, znakomitego pisarza i mówcy. Kandydaturze tej zarzucają, iż Herriot jest człowiekiem ściśle związanym z historią Trzeciej Republiki, a w obecnej— Czwartej Republice Francuskiej — starzy politycy nie są mile widziani.

Duże szanse ma kandydatura socjalistyczna — Vincent Auriola, obecnego przewodniczącego zgromadzenia konstytucyjnego. Auriol znany jest ze swych umiejętności łagodzenia konfliktów i doprowadzenia do koniecznych kompromisów. Nie jest wykluczone, iż w obecnym układzie stosunków francuskich ta kandydatura ma największe szanse.



Vincent Auriol.

NAGRODA „TYGODNIA"

za najlepszą książkę polską wydana w latach 1945-1946

JAK PODALIŚMY W NUMERZE POPRZEDNIM, REDAKCJA „TYGODNIA" USTANOWIŁA DOROCZNĄ NAGRODĘ ZA NAJLEPSZĄ KSIĄŻKĘ POLSKĄ. OBECNIE PO RAZ PIERWSZY NAGRODA TA PRZYZNANA BĘDZIE ZA KSIĄŻKĘ WYDANĄ W LATACH 1945—1946.

Wysokość nagrody wynosi 100.000 zł

W SKŁAD SĄDU KONKURSOWEGO WEJDĄ PRZEDSTAWICIELE MINISTERSTWA KULTURY I SZTUKI, ZWIĄZKU ZAWODOWEGO LITERATÓW POLSKICH, SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ „TYDZIEŃ" I REDAKCJI „TYGODNIA".

DECYZJĘ SĄDU POPRZEDZI GŁOSOWANIE CZYTELNIKÓW „TYGODNIA" W GŁOSOWANIU TYM ZOSTANIE WYSUNIĘTYCH DZIESIĘĆ KANDYDATUR DO NAGRODY. SPOŚRÓD KANDYDATUR SĄD KONKURSOWY WYBIERZE TĘ, KTÓREJ PRZYZNANA ZOSTANIE NAGRODA. GDYBY SĄD KONKURSOWY UZNAŁ, ŻE WŚRÓD ZGŁOSZONYCH KANDYDATUR NIE MA — WEDŁUG JEGO OPINII — GODNEJ OTRZYMANIA NAGRODY, MA ON PRAWO WYZNACZONĄ SUMĘ PODZIELIĆ MIĘDZY JEDNĄ Z KSIĄŻEK WYSUNIĘTYCH PRZEZ CZYTELNIKÓW I KSIĄŻKĘ, KTÓRA NIE UZYSKAŁA WIĘKSZOŚCI W GŁOSOWANIU LUB TEŻ W OGÓLE NIE ZOSTAŁA W GŁOSOWANIU WYSUNIĘTA.

W NAJBLIŻSZYM NUMERZE „TYGODNIA" ZAMIEŚCIMY PIERWSZY KUPON DO GŁOSOWANIA DLA NASZYCH CZYTELNIKÓW.

Zasady głosowania są następujące:

1) Głosować można na wszystkie książki polskie wydane na terenie Rzeczypospolitej w latach 1945—1946. Wyłączone są tłumaczenia z języków obcych i wznowienia książek wydanych do września 1939 roku.

2) Można natomiast głosować na książkę, będącą wznowieniem dzieła, którego pierwsze wydanie ukazało się na emigracji lub też jako druk podziemny w latach 1939—1945.

3) Każdy z Czytelników ma prawo głosować na pięć tytułów.

4) Głosy członków Spółdzielni Wydawniczej „Tydzień" i prenumeratorów „Tygodnia" liczą się podwójnie.

JALU KUREK

W ULEWIE TWOICH OCZU

Chmuro, która wybuchnąć nie możesz!
Czyje oczy na jaki szczyt mnie wynoszą?
Nie patrzeć — źle. Patrzeć — jeszcze gorzej.
Oczy się same o spojrzenie proszą.
W pośpiesznym marszu serca
zatrzymaj się,
stań.
Ty: blask.
Ja: cień.
Kochasz się w cieniu.
Światłem się rzucasz nań.
Wolno oddzielasz od powieki dzień.
Wiem, że się zanosisz na burzę.
Ja — zawsze odpływam w oka mynieniu.
Jeszcze raz
bity ulewą twych oczu, w gradowym pościgu,
spojrzę na elektryczny błysk,
gwałtowną różę, wytrysłą w obłokach,
najtkliwsze światło twoje, które
kocham.
Świat możnaby podnieść na takim spojrzeniu,
a cóż dopiero różę,
a cóż dopiero chmurę.

NAFTA AUSTRIACKA

Spośród przemian gospodarczych w Europie środkowej, jedną z najciekawszych jest pojawienie się znacznej produkcji ropy naftowej w Austrii i na Węgrzech. Zagłębie austriackie położone jest na północnym-wschodzie od Wiednia w rejonie Zistersdorf. Długość jego wynosi 10 km, szerokość 4 km. Na przestrzeni tej znajduje się 550 szybów naftowych, oraz 40 dostarczających gazu ziemnego.

Pierwsze wiercenia dokonane zostały w r. 1930 przez austriackie towarzystwo „Raky Danubia". Po czterech latach wyniki były jeszcze skromne, szyb najbogatszy dawał zaledwie 30 ton dziennie. Rozmiary tej produkcji pozwalały na pokrycie niewielkiej części wewnętrznego zapotrzebowania Austrii. W następnych latach zbliżano się do uzyskania samowystarczalności krajowej. Podczas wojny wydobycie ropy zostało znacznie rozbudowane i przekroczyło milion ton rocznie. Dla porównania przypomnieć należy, że wydobycie w Polsce w latach 1936 i 1937 wynosiło po pół miliona ton rocznie.

Do Wiednia, odległość o 50 km poprowadzony został rurociąg. W przedmieściu Floridsdorf na lewym brzegu Dunaju zbudowana została duża rafineria nafty, oraz urządzenia ułatwiające napełnianie barek naftowych w miejscowej przystani. W kwietniu 1945 r. produkcja została zatrzymana. Dzięki małym zniszczeniom udało się szybko — po zajęciu terenu przez wojska radzieckie — wznowić wydobycie. W pierwszym półroczu ubiegłego roku wynosiło ono 40.000 ton miesięcznie. Ilość ta wystarcza na pokrycie powojennego zmniejszonego zapotrzebowania Austrii.

Inwestowane kapitały były w 63% niemieckie. Ponieważ inwestycje te były dokonywane po przyłączeniu Austrii do Niemiec, Związek Radziecki skonfiskował całość urządzeń jako własność niemiecką. Celem odszkodowania 32% kapitałów anglo-amerykańskich wszczęte zostały rokowania.

S. W. B.



Masai

(dalszy ciąg)

— Patrzcie tylko! — wykrzykiwał zachwycony Bill — patrzcie na ten **chód!** Przecież oni po prostu płyną po ziemi!

Rzeczywiście, chód Masai jest nadzwyczaj lekki, pochyleni w przód, na długich zgiętych w kolanach nogach, zdawałoby się biegną śpiesząc się dokądś. Ciekawa rzecz! przecież ten sposób chodzenia jest taki sam u naszych górali na Podhalu! Skąd jednak takie podobieństwo? Wszak Masai mieszkańców stepów i buszu bynajmniej góralami nazwać nie można! A może jest to chód myśliwego? Krok czający się, podchodzący, a jednocześnie tak długi, swobodny i harmonijny, że pozwala pokonywać ogromne przestrzenie? Chyba tak, bo Masai są też urodzonymi i zamiłowanymi myśliwymi.

Każdy mężczyzna był uzbrojony. Co za wspaniałe dzidy! Nie służą do rzucania, są bowiem za ciężkie. Waga ich dochodzi do trzech kilogramów! Cios taką dzidą zadany — przebija na wylot! Długość jej wynosi około 2 metrów. Ostrze — to właściwie cały miecz, wąski, ostry obustronnie, długi na 60—70 centymetrów. Osadzony jest kunsztownie na twardym i ciężkim drzewcu, które stanowi jednak tylko część włóczni, i to część nieznaczną, koniec bowiem jest również ostrzem żelaznym, już wprawdzie nie w kształcie miecza, ale też zakończony ostrym szpicem. W obronie własnej taką dzidę nadstawia się wbijając jej żelazny koniec w ziemię.

Prócz dzidy każdy miał jeszcze miecz w skórzanej pochwie. Niektórzy nosili dziwne maczugi: cienka, długa rączka, zakończona w kształcie fajki zgrubieniem wielkości dużego jabłka. Wszystko z jednego kawałka nadzwyczaj twardego i ciężkiego drzewa. Prawdopodobnie specjalnie dobrany korzeń. Opowiadano mi później, że Masai tak sprawnie władają tą prymitywną bronią, że potrafią jednym celnym ciosem rozłupać czaszkę lwa!

— Mieli jeszcze wspaniałe tarcze ze skór bawolich, — opowiada doktór — ale niestety, rząd kolonialny był zmuszony surowym rozkazem odebrać im te tarcze. Były pięknie malowane deseniami i stanowiły swego rodzaju tarcze rodowe. Na podstawie takiego desenia—herbu łatwo było poznać, z jakich stron, z jakiego rodu wojownik pochodzi.

— Jakto, odebrano im tarcze? Co było powodem?

Doktór uśmiechnął się dziwnie:

— Widzisz... wszystko to przez te tańce. Masai są niemuzykalni, nie znają i nie uznają żadnych instrumentów muzycznych. Na uroczystościach na przykład, przy „wyświęcaniu Morana" — tańczą. Nie są to piękne tańce, raczej jakieś konwulsyjne podrygiwania, podskoki. Ale w czasie takiego baletu — wybijali takt uderzeniami w tarcze. Otrzymywało się coś zbliżone go do warkotu „tam-tamów", jakąś głuchą ponurą melodię rytm, coraz prędszy, podniecający. I otóż w takt tego szaleńczego bębnienia tancerze podskakiwali, podrygiwali coraz szybciej, wpadali w jakąś ekstazę, w szał. I ten zbiorowy szał kończył się bardzo często mordowaniem się nawzajem. Tarcze trzeba było odebrać. I również zakazać czyszczenia ostrzy dzid i mieczów! Zwróćcie uwagę, że nie błyszczą! Potrafili nawet połyskiem wywijanych dzid — wprowadzić się w stan szału! Łatwo podniecający się narodzik, co?

Śmiał się doktór, ale po chwili dodał poważnie:

— Ilość morderstw zmniejszyła się, lecz śmiertelność wśród wojowników — bynajmniej...

To ostatnie powiedzenie zrozumiałem znacznie później, dopiero gdym zapoznał się z polowaniem Masai na lwy.

Zauważywszy w okolicy drapieżnika, Masai otaczają go w buszu ogromnym kołem. Bezszelestnie zbliżają się, zacieśniają koło coraz bardziej. Wreszcie lew zostaje otoczony żywym murem poruszających się tarcz, najeżonym ostrzem dzid. Jedyny ratunek, jedyna droga do ucieczki to skok i przełamanie tego pierścienia. Przed impetem skaczącego lwa chroniła dawniej wojownika jego tarcza. Duża i mocna chroniła przez moment, przez ułamek sekundy, wystarczający jednak na to, by ostrza dzid sąsiadów przeszyły płowe cielsko. I zdarzało się, że Masai będący właśnie na drodze ucieczki lwa, wychodził żywy i cały.

Teraz, po zakazie posiadania tarcz, nie zdarza się to nigdy. Zamykające się koło myśliwych nie jest chronione murem tarcz. Lew w potężnym skoku wpada wprost na człowieka, nawet najcięższa, śmiertelna rana zadana nastawioną dzidą, nie powstrzyma 200—250 kilo ważącego cielska. Jednak lew, „Sambo", niedarmo królem zwierząt zwany — nie jest tchórzem, powaliwszy przeciwnika i otworzywszy sobie drogę — nie ucieka zaraz. Przez moment zatrzymuje się na swojej ofierze, i w tym momencie zostaje przeszyty ostrymi, jak brzytwa włóczniami. Na wylot przeszyty jest również leżący pod nim człowiek...

Znane jednak są i polowania Masai na lwa w pojedynkę. Jest to w doskonałym tego wyrazu znaczeniu — pojedynek. Dzida, miecz i w ostatecznym wypadku maczuga — przeciw potężnym, szponami ostrych pazurów uzbrojonym łapom, które potrafią zabić jednym uderzeniem . przeciwko kłom, co schrupią ramię niczym kość kurczaka. Pojedynek zręczności i odwagi człowieka z kocią zwinnością króla zwierząt. A lew nie zawsze ucieka przed człowiekiem!

Mężczyźni ze szczepu Masai nie lubują się w „strojach" i świecidełkach. Ubiór ich odznacza się wprost spartańską prostotą: kawał krowiej skóry przerzucony przez ramię ledwie osłania nagość. Skóra— albo szmat materiału — zawsze brunatnego koloru. Na nogach noszą (widziałem to tylko u Masai!) sandały: skórzana podeszwa umocowana paskiem przechodzącym pomiędzy dużym a następnym palcem nogi. Zaraz, zaraz! gdzież to ja widziałem takie sandały? takie ich umocowanie? Prawda! przecież to takie same jakie widziało się w muzeum starożytności Egiptu w Kairze! Na staroegipskich malowidłach ściennych!

Niektórzy Masai noszą jakby odznaczenia za dzielność i odwagę, na przegubie ręki. Są to proste skórzane pierścienie, z ogonów zabitych lwów! Ile pierścieni widzisz takich na ręku — tyle lwów ten Masai ma na sumieniu! Jest to „odznaczenie" wielce cenione i honorowane. Widziałem młodego „Morana", który z dumą paradował aż z trzema takimi ogonami. Nie łatwo jednak musiało mu przyjść zdobycie ich, bo całe ciało miał pokryte okropnymi bliznami.

W „manyatta", której dziedziniec był jedną wielką gnojówką (miał rację dr Leaky uprzedzając nas przed... pchłami i radząc w takich odwiedzinach występować w długich, wpuszczonych w buty spodniach!), obstąpił nas momentalnie tłum nagusieńkich dzieciaków. Zbliżyły się bez oznak strachu i śmiało zaglądały w oczy.

Najśmielszy jednak podskoczył do mnie i nadstawił ogoloną na pałę łepetynę. Nie wiedziałem, co to ma znaczyć. Drugi — pochylony tak samo — stał przed doktorem:

— Zgłaszają się po błogosławieństwo, — z powagą poinformował ten ostatni — ma to ponoć odpędzać złe duchy i sny. Rób tak:

Doktór z powagą zapukał jednym palcem w pochylony łepek. Zaraz nadstawiono mu następny. Rozdawaliśmy tak „błogosławieństwa"; zanim nie zjawiła się starszyzna „manyatta".

Stary Masai, szef czy wódz plemienia, wyciąga na powitanie rękę. Proszę się nie dziwić, że wspominam o takim prostym na pozór zdarzeniu. Jesteśmy wszak w Afryce, gdzie przepaść pomiędzy białym a czarnym człowiekiem jest znacznie głębsza, niż to w Europie sobie wyobrażamy. Masai jednak wyciąga do białego rękę. Bo on tu jest panem i nie ma absolutnie poczucia jakiejś niższości w stosunku do białego człowieka.

Trudno przypuszczać, by Masai nie mieli tego — co nazywamy poczuciem związków rodzinnych czy też miłością dzieci do rodziców. Nie, tak powiedzieć nie można. Ale ich podejście do tych spraw jest bardzo, że tak powiem... „praktyczne": człowiek w „manyatta" jest tak długo potrzebny i ceniony — póki jest zdrowy, silny, pracujący. Kobiety — póki mogą przyrządzać strawę, nosić wodę, wyprawiać skóry, budować lepianki, rodzić dzieci. Mężczyźni tak długo jak są myśliwymi. strzegącymi stad, ojcami rodów. Starzy i chorzy są niepotrzebnym ciężarem. A rzecz niepotrzebną — wyrzuca się, pozostawia się w buszu i... wędruje dalej!

Pewnego dnia znalazł doktór w buszu starą i chorą kobietę. Była prawie umierająca. Zabrał ją do szpitala, wyleczył postawił na nogi. A potem z triumfem, zadowolony z wyniku swoich trudów lekarskich, odstawił do „manyatta" jej rodu. Spotkał ją ogólny pomruk niezadowolenia i wyrzuty:

— Jesteś już bardzo stara, masz wkrótce umrzeć. Czego się pętasz jeszcze po świecie? Idź z powrotem... do buszu...

Poszła...

Kobiety z „manyatta" zbliżają się do przybyszów dopiero po ceremoniale powitania przez starszyznę. Mają wystrzyżone, jak zresztą wszyscy murzyni głowy, uszy przecięte i obciążone rozmaitymi upiększonkami, tak że wyciągnięte w obrzydliwy flak zwisają aż do ramion. Na rękach i nogach noszą „bransolety" z grubego drutu, prawdziwe pancerze. Raz nawinięty drut, — od przegubu rąk aż po łokieć — pozostaje tak już raz na zawsze, deformując członki. Czy są piękne? To sprawa gustu i pojęć piękna. Prawdopodobnie dla Masai taka kobieta z uszami-flakami, z workami piersi zwisających aż do brzucha, jest piękna i ponętna. Nie będę więc wyrażał swego zdania, wystarczy przyjrzeć się fotografiom.



Wojownik z buszu.

Zaznaczę tylko, że są brudne — tak jak wszystko w „manyatta", że... cuchną niesamowicie — jak wszystko w „manyatta".

Cuchną? ale może Masai poczuwszy delikatny zapach perfum naszych elegantek... skrzywiłby się z obrzydzeniem? Może zatkałby nos.

Masai gardzą rolnictwem, krzywo patrzą nawet na owce, na rozmaite „paw-paw", banany, owoce drzew chlebowych. Masai— koczownicy pasterze — jedzą tylko mięso, piją mleko i... krew.

Picie krwi wcale nie oznacza, że zarzynają bydło i chłepcą krwawą posokę. Po prostu „pobierają" krew swoim krowom i buhajom, toczą ją tak jak wino z beczki.

Związane to jest z pewnym rytuałem. Ściąga się paskami rzemieni szyję krowy tak mocno, że pod skórą występuje arteria. Wtedy przebija się ją nożem — lub częściej małą strzałką wypuszczoną z odległości mniej więcej jednego metra. Krew tryska cienkim, dalekim strumieniem. Podstawia się pod ten strumień naczynie, taki „dzban" z wysuszonej i wyczyszczonej wewnątrz tykwy. Nabiera się krwi tyle — ile potrzeba, ile można pobrać z jednej sztuki bez uszczerbku dla jej zdrowia. Zdejmuje się następnie rzemień, przebita arteria chowa się i zamyka jak zakręcony kurek wodociągu czy otwór beczki zatkany czopem.

Krew miesza się z mlekiem i tak się pije. Ulubiony pokarm Masai. Ponoć smaczny i zdrowy. Pożywny na pewno.

Jednym z najciekawszych zwyczajów plemienia Masai jest wyświęcenie na „Morana".

Mieszkańcami „manyatta" są dzieci. kobiety i mężczyźni w wieku dobrze po trzydziestce. Gdzież jest męska modzież?

W jednym z koczowisk zobaczyłem dziwną postać wstydliwie wyglądająca z lepianki. Młody, może szesnastoletni chłopak. którego głowę stroiły pyszne czarne strusie pióra i świecidełka. Ten strój tak odbijał od prostoty noszenia się Masai. że nie mógł nie wzbudzić mego zainteresowania. Zacząłem wzywajaco kiwać na niego ręką. Przyjazne uśmiechy otaczającej mnie starszyzny znikły momentalnie. W silnym podnieceniu zaczęli mówić wszyscy naraz, wymachując rękami. Tłumacz nasz zbladł, o ile murzyn może zblednąć — zrobił się szary na twarzy i coś żywo przekładał doktorowi. Ten ostatni mrugał do mnie znacząco i kręcił przecząco głową. Zrozumiałem, że ów młodzieniec jest jakimś „tabu", że z jakiegoś powodu jest nietykalny dla oczu obcych. niewidzialny.

(Dokończenie w następnym numerze)

inż. Wiktor Ostrowski.



Żony wodza Masai.

Kroniki WENECKIE

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ
z cyklu „Nowele włoskie"

Dla ludzi piszących, poetów, literatów, nie ma jak podróż. Nie tylko zmiana środowiska, ale sam ruch wagonu, stuk kół o szyny już wywołują w umyśle pewnego rodzaju fermenty. Pomysły sypią się, rytm wiersza gada — i ostatecznie zamiast podziwiać i oglądać jakieś cudzoziemskie cuda — podróżujący pogrążają się we wspomnienia, a ze wspomnień rodzą się fikcje, nie mające nic wspólnego z otaczającą go rzeczywistością, a jednak dzięki tej rzeczywistości powstałe. Przyjechawszy zaś do obcego miasta, spotyka się w nim tylko dobrze znajome i dawno już o wcielenie proszące postacie.

Tak było również ze mną. Wybrałem się w podróż, aby odpocząć po pracy, aby myśleć zupełnie o czym innym, niż moja powieść, z którą nie mogłem dać sobie rady, i ledwo przyjechałem do Wenecji i zamieszkałem w ładnym pokoiku z widokiem na Santa Maria della Salute. zaraz wyjąłem z kuferka — jeszcze przed bielizną i ubraniem — pakę papieru i gwałtownie począłem szkicować ostatnie, najtrudniejsze rozdziały. Schodziłem tylko na jedzenie i w rezultacie tak byłem zmęczony, że zasypiałem nad rękopisem, który powiększał się bardzo pomału.

Mimo usilnego sterczenia przy biurku i trudu, jaki sobie zadawałem stawiając słowo obok słowa i budując zdanie po zdaniu, mimo iż zacząłem przepisywać na maszynie go owe już rozdziały, — robota mi się nie kleiła. Każdy pisarz zna te męki, kiedy pomiędzy głównymi fragmentami jego dzieła powstają nie dające się niczym napełnić luki, kiedy widzi się kawałki akcji, nie widzi się całości, kiedy trzeba się ratować oschłym „remplissagem", albo kiedy trzeba zamykać rozwikłane działania paroma obojętnymi zdaniami, które stają się niemymi prawie świadkami naszej twórczej niemocy. Ale najgorszą przygodą pisarza jest ten moment, kiedy mu się z rąk zaczyna wymykać jedna z głównych postaci, stając się martwą i sztywną, kiedy znikają sprzed oczu jej gesty i uśmiechy, kiedy za każdym baczniejszym spojrzeniem przemienia się w lalkę, uśmiechającą się jak gdyby z fryzjerskiej witryny.

Przeżywałem teraz taki kłopot ze znalezieniem gestów, spojrzeń, uśmiechów głównej postaci kobiecej mojego romansu. Uciekała ode mnie i kryła się poza kolumny opisów przyrody czy obojętnych zdarzeń. Wiedziałem, że istnieje ona poza wszystkim i spoziera na mnie spomiędzy równych rzędów mojego rękopisu — ale kiedy chciałem ją spotkać oko w oko, ująć bezpośrednio za ręce i wciągnąć w nieskomplikowany wir mojej akcji, usuwała się uparcie jak tanecznica, wstydząca się tańczyć po środku izby.

Męka ta trwała długo, psuła mi cały pobyt w Wenecji, której zresztą prawie nie widziałem, pochłonięty swoimi myślami. Od czasu tylko do czasu wychodziłem na miasto. Nie zapuszczałem się gdzieś dalej, ale w najbliższym otoczeniu hotelu siadałem w jakiejś kawiarni — zanim kelner przyniósł mi zamówione espresso, znowu wracały do mnie porzucone przed chwilą twarze i osoby prawdziwego mojego życia: mojej powieści.

Do takiego skupienia się na jednym przedmiocie przyczyniło się i to także, że byłem zupełnie samotny w Wenecji. Nikt mnie nie znał, i ja nikogo nie znałem. Sezon był jeszcze bardzo wczesny, było zimno — i żadne znajomości z kraju nie przerywały mi swoim paplaniem prawdziwego szczęścia samotności. Miałem niejasne uczucie, że ktoś z moich znajomych — dawnych a dalekich znajomych — mieszka stale w Wenecji. Ale widocznie odsuwałem od siebie myśl o tym ukrytym przyjacielu, gdyż nie mogłem dokładnie zrealizować ani jego osoby, ani nazwiska.

Tym szczęśliwsza była ta samotność, że otoczona wesołym, barwnym, serdecznym i krzykliwym tłumem, snującym się po placu św. Marka i po malutkich uliczkach, cieknących się jak pajęczyna naokoło niego.

Zmęczony pracą dałem wreszcie za wygraną, przerwałem pisanie i nawet odłożyłem rękopis z powrotem do kuferka. Nowym okiem spojrzałem na miasto wychodząc po tej decyzji — i nagle ujrzałem, że otacza mnie jakieś święto czy uroczystość niewiadomego rodzaju. Wielkie czerwono-zielono-białe chorągwie powiewały na olbrzymich masztach przed kościołem, a zimny wiatr dalmatyński zwijał je i rozwijał od czasu do czasu rozdymając je jak żagle. Plac św. Marka zalegał zwarty tłum, chodzący tanecznym krokiem w takt muzyki, którą wykonywała wojskowa orkiestra, umieszczona na przejrzystej żelaznej konstrukcji po środku placu.

Właśnie myślałem, że się bez reszty roztopiłem w tej anonimowej masie i rozstawałem się w głębi serca z całą moją indywidualizującą mnie twórczością, starając się jak najbardziej odczuć, że jestem kimś z tłumu — kiedy nagle zawołano na mnie po nazwisku. Nie stary jeszcze człowiek, w dziwacznym kapeluszu, wyszedł zza loggii wprost na mnie. Zdziwiony spojrzałem na niego. Przywołany do rzeczywistości, wahałem się przez chwilę, ale twarz tego pana nie wywołała żadnego echa w mojej pamięci. Jednakże odcinał się on tak egzotycznie od całego otoczenia, że od razu pojąłem, że jest to ktoś z Polski. Mimo wysiłków, aby strój jego przypominał styl angielsko-amerykański, w nasunięciu na oczy kapelusza, w narzuceniu płóciennego płaszcza, w jego dobrych warszawskich butach — mieszkało tyle naszego rodzimego szyku, że pochodzenie jego nie mogło budzić wątpliwość. Na prostym wydatnym nosie miał krzywo osadzone binokle, a pod nosem wąskie czarne wąsiki. W oczach jego malowała się inteligencja i uśmiechał się bardzo życzliwie, nonszalancko podając mi rękę.

Dopiero po kilku banalnych zdaniach zwyczajnej w takich razach rozmowy: skąd, dokąd, na jak długo? zorientowałem się, że mam przed sobą właśnie owego dawnego znajomego, który mieszka stale w Wenecji. Spotykałem go kiedyś bardzo dawno na wsi, kiedy był jeszcze dziedzicem wielkiej fortuny i obracał się w magnacko-arystokratycznym świecie Ukrainy. Wiedziałem, że potem został dziennikarzem, ale nigdy już się z nim nie stykałem. Przyznam się że zarówno on, jak cały okres mojego życia z nim związany, wypadły niejako z mojej pamięci. I dopiero w miarę jak stojąc z nim razem przed pałacem Dożów wymieniałem pospolite frazesy, z głębi mojej pamięci zaczęły się wynurzać najprzód jego nazwisko — nazywał się Oswald Sosnowski — potem magnacki dom, w którym mieszkaliśmy razem przez dwa tygodnie, a potem... nic już nie pamiętałem.

Sosnowski zaczął mi od razu opowiadać o swoim weneckim mieszkaniu, wynajętym w pałacu, który był własnością jakichś fabrykantów z Łodzi. (Sosnowski był dziennikarzem postępowym i pętał się jak słyszałem w bardzo rozmaitych towarzystwach). Opowiadanie o tym mieszkaniu zaciekawiło mnie. Postanowiliśmy zjeść razem obiad a potem miał mi pokazać ów czarodziejski podług jego zapewnień pałac.

Przyznam się, że pomimo wspaniałości owego mieszkania, które zajmowało dwa piętra wielkiego pałacu w okolicy św. Eustachego, zrobiło ono na mnie wrażenie raczej ponure. Olbrzymie pokoje, niezmiernie wysokie, za-



W tej chwili obie moje stopy stanęły po kostki w wodzie.

pełnione jedynie wielkimi zagasłymi lustrami, podobnymi do okien wychodzących na nicość, były zimne. Gubiły się w nich nieliczne meble, zresztą bardzo piękne. Obok wielkich sal ciągnęły się małe pokoiki z rokokowymi szafkami i wątłymi połamanymi krzesłami, podobne do naszych wiejskich graciarni. Całość robiła wrażenie czegoś bardzo niezamieszkałego i opuszczonego. W chłodzie tego wilgotnego, wystudzonego podmuchami zimowego wiatru mieszkania. wśród martwych, zniszczonych i zakurzonych mebli, parę współczesnych przedmiotów codziennego użytku raziło swoją wulgarnością. Pasiaste blezery i sportowe kurtki, niebieskie i różowe wełniane krawaty leżały porozrzucane w ciasnej sypialni, której głównymi meblami było mahoniowe łóżko à la Paolin Borghese, tudzież wielki amerykański kufer szafowy W stołowym pokoju stały wypłatane wiedeńskie krzesła, parę sportowych fotografij wisiało na ścianach, w tym duży portret oficera francuskiej marynarki, jakaś martwa natura drugorzędnego kresowego malarza — a wszystko to wydawało się jaskrawe i zbyteczne w tym umarłym muzeum. Nie wiem dlaczego, ale znudziła i rozdrażniła mnie ta cała wizyta. A w dodatku przy wyjściu z tego domu, spotkała mnie niemiła przygoda.

W czasie tego pobytu w Wenecji zauważyłem pierwsze oznaki starzenia się mojej doskonałej dotychczas pamięci. Orientowanie się w labiryncie weneckich uliczek jest zawsze rzeczą trudną.•jakoś jednak dawałem sobie z tym radę. Ale teraz spostrzegłem, że pamięć moja, notująca doskonale i rozróżniająca kilka rozmaitych przedmiotów, poczynała zawodzić, gdy należało zapamiętać wybór pomiędzy dwoma przedmiotami, nazwami, kierunkami. W Wiedniu miałem pokój Nr. 62, w Wenecji 26. Na prózn przez długie minuty pouczałem siebie: pamiętaj, w Wiedniu 62, w Wenecji 26! Większy w Wiedniu, mniejsz w Wenecji! Gdy tylko wychodziłem na miasto, już n pamiętałem, czy mieszkam w 26 czy w 62. Dobrze, mnie portier hotelowy znał i na drugi już dzień wre czał z uśmiechem, ale bez pytania klucz od zapomnia nego numeru. Tak samo oglądając w pokoju plan Wenecji, wiedziałem, że do doskonałej restauracji, któr adres dostałem w Warszawie, trzeba było wysiąść prz Ponte Rialto, a potem przejść uliczką najpierw na prawo, a potem na lewo. Ledwie znalazłem się przy mości kolejność kierunków zacierała się w mojej pamięci i dopóty mi się to „prawo" i „lewo" plątało, dopóki nie dodałem sobie jeszcze jednego kierunku zaraz po wyjści z vaporetta. Owo „najpierw trochę na prawo", pote na prawo i wreszcie na lewo — zapamiętałem od raz i odtąd trafiałem z łatwością na weneckie ryby, sałat i makarony.

Przypuszczam, że owo pierwsze niepoznanie Oswald Sosnowskiego było również figlem słabnącej pamięc która rada że mogła się pogrążyć w odmęty twórcze imaginacji, niezdolna było do wysiłku w otaczającej mn rzeczywistości. Chociaż krótkie stosunki moje z Oswa dem nie były nigdy bardzo zażyłe ani nawet w żadny stopniu bliskie, przecież nasz wspólny pobyt pod jedny dachem jeszcze przed tamtą wojną, powinny były wy ryć jego dość dziwaczną postać dokładnie w mojej głowi

Wtedy wieczorem, wychodząc od Sosnowskiego, zamy śliłem się bardzo — miałem powód do zamyślenia — i do znałem przez to grubszej krzywdy. Po środku wielkie pustej sali z lustrzanymi ścianami. które wydawały m się zawleczone pajęczyną, stał okrągły marmurowy stó a na nim duża szklana misa pełna najrozmaitszych fo tografii. Podczas kiedy Sosnowski poszedł do kredens po wermut, przerzucałem bezmyślnie tę zbieraninę. Mnó stwo obcych twarzy. mnóstwo ludzi w pozach śmiesznyc lub żałosnych. w postawach, które dla nieznajomych był niezrozumiałe, gdyż nie mogli pod nie podłożyć znaneg sobie życia ani wyobraźnią uzupełnić niewytłumaczalne ekspresji — przesypywało się w moich palcach, jak pia sek w klepsydrze znaczącej nieznane mi godziny. I w ca łej tej górze żółtawych i szarawych kartoników, śmiesz nych wysiłkach techniki pragnącej zatrzymać strumie czasu. raptem spostrzegłem twarz znajomą, ale od dawn przygaszoną w moim wspomnieniu.

Sam nie posiadałem podobizny Zosi i może dlatego j rysy nie tak plastycznie odbiły się w oku mojej dusz Oglądanie starych fotografii należy do takich samych ob wiązków jak odczytywanie starych listów. W miarę g blakną — jedne i drugie — wlewamy w nie coraz inn treść najnowszych przeżyć i nawarstwiamy na ginącyc rysach minionego życia nowe pokłady. Nie przypomina jąc sobie co pewien czas nie pamiętałem twarzy Zos nie umiałem już teraz porównać piękności jej z urod otaczającą mnie na codzień. Czy była piękniejsza, c brzydsza od mojej żony? Czy taka jak moje córki? C taka może jak która z pięknych warszawskich aktorek Czy się „dobrze ubierała"? Owoczesne jej suknie byłyb dzisiaj śmieszne, jak śmieszne mi się wydało na tej o nalezionej w Wenecji fotografii jej uczesanie, skromn i wyszukane w tej skromności, uczesanie „estetyczne a la Dante Gabriel Rossetti. Odłożyłem fotografię ja inne, ale twarz, która spojrzała na mnie nie z kryszt łowej misy, ale z odległości trzydziestu lat, poruszyła w mnie wspomnienia bardzo odległe i zepchnięte głębok w podświadomość, bo niewytłumaczone. Zacząłem ro mawiać z Sosnowskim, który powrócił z wermutem, i d piero wychodząc przypomniałem sobie, że spotykałe go przecież po wyjeździe z Szapijowa w Warszawie. Sp tykałem — to może źle powiedziane, spotkałem go r jeszcze jeden i to właśnie w towarzystwie Zosi, na sc tingu.

Zanurzyłem się we wspomnienia. Zamyślenie to, a ta że owo lekkie przyćmienie pamięci. o którym mówiłe sprawiło, że zapomniałem jak mi kazał wychod z domu w pożegnalnych swych słowach hrabia — dzie nikarz; powiedział mi: „Niech tylko pan uważa, że skręcić na dole..." na prawo, czy na lewo? Nie miałe pojęcia.

Olbrzymie marmurowe schody były zmurszałe i ciemn Pachniało mchem i spadające krople wilgoci kapa dźwięcznie. Czarna Wenecja, martwa i cicha, leżała kamiennymi ścianami. Schodziłem opierając się o w gotny mur, a kiedy schody urwały się, skręciłem na le w ciemnej przestrzeni. Natrafiłem znowu na schody, żące we wspaniałym zajeździe i bardzo powoli, nie m jąc już żadnego oparcia, posuwałem się naprzód. Sz spadających kropel stawał się wyraźniejszy, kamien płyty pod nogami coraz bardziej śliskie i coś zama czyło przede mną niebiesko-szarego. W tej chwili o moje stopy stanęły po kostki w wodzie. Chlusnęło moc kiedy wyrwałem się z jej oślizgłej pieszczoty i tro przestraszony cofnąłem się w górę. Oczywiście trzeba b ło skręcić na prawo.

Oczy moje przyzwyczaiły się już nieco do ciemnos i słabo rozróżniały kontury. Z łatwością wspiąłem się głównych schodów i przeszedłszy parę stopni trafiłem żelazną kutą bramę, a za nią znalazłem się na mał placyku, zaraz obok stacji vaporetta „San-Stae". Ale ob wie miałem kompletnie przemoczone.

Obejrzałem się na pałac Loredan-Schutz, z któr wyszedłem, i ujrzałem wysoko na piętrze głowę Oswa wychylającą się z okna.

(Dalszy ciąg w następnym numerze)

aria Dąbrowska

O „KOZAKACH" W „KUŹNICY"

W nr 50-tym „Kuźnicy" z d. 24.XII.46. kazał się artykuł p. Melanii Kierczyńkiej p.t. O „Ludziach Stamtąd". Nie zaierzam podejmować dyskusji z tezami tej ecenzji, mającej za przedmiot moją siążkę. Jestem natomiast zmuszona wyaśnić pewien passus wymienionego arykułu. Nie jest moją winą, że to wyjaśienie będzie dla p. Kierczyńskiej nierzyjemne.

Chcąc udowodnić, że w „Ludziach Stamąd" celowo i tendencyjnie wyeliminowaam przedstawionych tam ludzi z owoczesej rzeczywistości społecznej, p. Kierczyńka pisze: „Kły jedna z drugom do kozoków suszy, a roboty nie patrzy". Ten orzyk mleczarza Dionizego do folwarcznych ziewek, to na dwustu z górą stronicach ego tomu **jedyny** ślad, że we dworze Ruocińskim, czy w którymś z pobliskich worów znajdowali się kozacy, wezwani, ak to z reguły miało miejsce w roku 1905 następnych, przez ziemian przeciwko buzącym się fornalom".

Rozwiewam złudzenia p. Kierczyńskiej, oszukującej „śladów" rewolucji 1904—5 r. „Ludziach Stamtąd". Nie ma ich. A w każdym razie nie w przytoczonym przez nią zdaniu Dionizego należy się ich dopatrywać. I wyjaśniam, co następuje:

1. Lud w moich stronach rodzinnych Kaliskie) nazywa „kozokami" młodych chłopaków. Nie ma to nic wspólnego z kozakami byłej armii rosyjskiej, może mieć natomiast pewne dalekie koneksje z kozaczyzną naddnieprzańską i „kozakami" oraz — zdrobniale — „kozaczkami" służebnymi na dworach panów i szlachty w dawnej Polsce. Ale jeśli chodzi o „kozoka" Kaliskiem i Poznańskiem, to i takie pochodzenie jest wątpliwe. Najprawdopodobniej „kozok" jest w tych stronach jedną z gwarowych form rodzaju męskiego od „kozy". „Kozok" występuje bowiem także w obrzędach ludowych obok „kozy" obok np. „podkoziołka".

Jeśli moja znajomość języka polskiego nie jest dla p. Kierczyńskiej dość przekonywująca, to proszę — przepisuję dla jej użytku odpowiedni ustęp ze „Słownika Gwar Polskich".

Słown. Gw. Pol., tom 2-gi, str. 455. „Kozák" — chłopiec. Chłopca swego do pasania bydła nazywa chłop gospodarz (nie zaś szlachta) „kozákiem": „Kozák, kaj to dziesz?". Poznańskie. „Kuozák" — chłopiec dorosły. „Poswarzył sie z kozákami" — pokłócił się z chłopcami. „Kozak" — chłopiec mały pod Kaliszem. „W pole orać, mój kozáku". Pieśń — Kujawy. Podczas obrzędu „frycowego" u kosiarzy przed „frycem" skacze jeden lub dwu t. zw. „kozáków". Przy „kozie" noworocznej asystujący kozie nazywają się „kozákami".

Czy wystarczy?

2. P. Kierczyńska nie zna nie tylko gwary ludowej (bo gdyby ją znała, wiedziałaby, że „Ludzie Stamtąd" napisani są gwarą kalisko-poznańską, czyli wielkopolską i mogłaby z łatwością owych „kozoków" sprawdzić), ale także — przebiegu rewolucji 1904—5 roku w Polsce. Otóż w Kaliskie, a przynajmniej w moje najbliższe strony rodzinne, rewolucja dotarła tylko do miast, a na wsiach ograniczyła się do spolszczenia gmin i szkół gminnych oraz do śpiewania „Boże, coś Polskę" pod przydrożnymi kapliczkami. Żadnych rozruchów nie było, były tylko nastroje rewolucyjne śród części inteligencji wiejskiej, m. in w moim domu rodzinnym. Do tego stopnia było tak, a nie inaczej, że gdy potrącając w „Nocach i Dniach" o lata rewolucji, chciałam choć w minimalnym stopniu zaznaczyć wrzenie społeczne na wsi, musiałam stworzyć w tym miejscu fikcję zaczerpniętą z opowiadań o innych okolicach kraju.

3. Lud w okresie między latami 1900—1913, który to czas obejmuje akcja „Ludzi Stamtąd" nie nazywał wojska rosyjskiego (w moich stronach) „kozakami". Ówczesny żołnierz rosyjski to był „kacap" albo „rusek". A w okolicach, gdzie chłopi stykali się z wojskowymi kozakami, nazywano ich „kozunie".

4. Gdyby nawet w moich okolicach były rozruchy wiejskie i było wzywane wojsko, nigdyby to nie byli kozacy, gdyż kozacy nigdzie w Kaliskiem nie stacjonowali. W Kaliszu stali w tych czasach, a i dawniej— dragoni. Komiczne też jest przypuszczać, że mogłabym kazać dziewczętom folwarcznym „suszyć zęby" do wojska przysłanego na ich poskromienie i na represje. Tak złym psychologiem nie jestem, ani takim cynikiem, aby mówić o tym w dodatku jak o czymś naturalnym.

Aby pisać recenzję dzieła literatury polskiej, nie wystarcza być biegłym w dialektyce marksistowskiej. Trzeba jeszcze znać się dobrze na tym, co polskie zarówno w rzeczy języka, jak obyczajów, jak historii.

Ze starych fraszek

WÓŁ I LATARNIA MORSKA

Tego roku w wielkim poście
Szedłem na Pragę po moście,
A wtem rzeźnik świnię pędzi,
Umykam się ku krawędzi.
Przecież się jedna zbliżyła
I mnie ryjem uderzyła.
Odtąd, kto mnie skrzywdzi mową,
Przypomnę mu świnię ową.

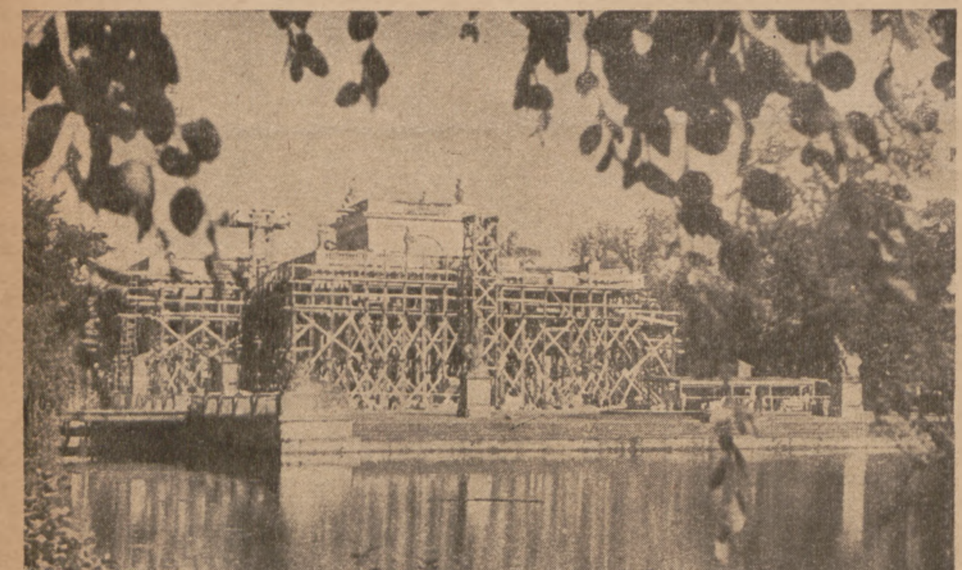
Soter Rozmiar Rozbicki (1816—1876)

NA DZIENNIKARZA

Będę feudałem
Albo radykałem.
Kogo mam obrzucić błotem,
Pomówimy potem o tem.
Moje czoło jak miedziaczek,
Moje pióro jak wiatraczek,
Na usługi swoje masz,
Tylko powiedz — co mi dasz?

Aleksander Fredro (1793—1876)

ODBUDOWA ŁAZIENEK ZOSTANIE UKOŃCZONA W LECIE R. B.



Widok pałacu łazienkowskiego w obramowaniu rusztowań.
(fot. Film Polski)



PORTRETY SŁAWNYCH LUDZI

Opracował Bolesław Busiakiewicz
(Kopiowanie podobizn zastrzeżone)

II

JEAN BAPTISTE POQUELIN DE MOLIERE
• 15.I.1622 — † 17.II.1673.
(W 325-tą rocznicę urodzin)

Molière — jak wiadomo — to tylko pseudonim. Był synem kamerdynera królewskiego, wykształcenie otrzymał w kolegium jezuickim w Clermont. Przygotowywał się na prawnika i został członkiem paryskiej palestry. Ale już od lat młodzieńczych interesował go teatr. Mając lat 22 porzuca dom, przyłączając się do trupy aktorów, dającej przedstawienia w sali balowej na przedmieściu paryskim w St. Germain a nazywającej się szumnie: „Illustre Theatre". Teatr „robił bokami" i postanowił szukać szczęścia w objazdach po prowincji. Odtąd, — a był to rok 1647, rozpoczyna Molier 11-toletnie życie koczownicze wędrownego aktora, a z czasem dyrektora teatru. Brak repertuaru w zespole był tą pierwszą i bezpośrednią przyczyną, że Molier zaczął pisać. Początkowo były to przeróbki sztuk autorów włoskich, następnie napisał kilka komicznych scen i przeszedł stopniowo do samodzielnych „żartów scenicznych", których tytuły uległy zapomnieniu, aż wreszcie w 1655 r. wydał swą pierwszą komedię, gdy bawił z zespołem w Lyonie. Na Boże Narodzenie roku 1656 Molier wraz ze swoją trupą grał już w Paryżu w sali starego Louvre'u wobec całego dworu i króla — Ludwika XIV. Odtąd korzysta z wyraźnych wyróżnień i faworów króla, który powierzył mu salę w Palais Royal i odtąd datuje się powodzenie Moliera jako autora. Począwszy od 1661 r. od premiery „Ecole des maris" (Szkoła mężów) — karta życia jakby mu się odwróciła... W lutym 1662 r. żeni się z 19-toletnią artystką Armandą Bejart, córką pięknej Madelaine, dla której przed laty przystąpił do wędrownej trupy... Ale małżeństwo to, zapowiadające się na jedno z najszczęśliwszych było „przykładem" niezgody i wiecznych nieporozumień. Molier pisał dalej! Mianowicie komedię „Ecole des femmes" (Szkołę żon), — jakby ciąg dalszy „Szkoły mężów", a wkrótce sławny „Tartufe" (Świętoszek), jest wystawiony w 1664 r. w Wersalu. Ta ostatnia komedia wywołała sprzeciwy pod adresem autora, który grał ją nawet dla zmylenia opinii pod drugim tytułem „L'imposteur" (Oszukaniec), ale „podstępu" tego władze zabroniły. Dwa lata zabiegów i kłopotów przyniosły Molierowi triumf w 1665 roku w postaci premiery „Don Juana", — którego jednak za życia w druku nie ogłosił, — albowiem po 15 spektaklach granie jego zostało zabronione. Była to ostra satyra na moralność publiczną współczesnego społeczeństwa Francji. Następna sztuka to „Mizantrop", której bohaterem jest Molier, a sam utwór to jakby testament — autora. Podjął w nim po raz ostatni nieubłaganą walkę z kłamstwem i obłudą społeczeństwa swego wieku.

Mówiąc o spuściźnie Moliera nie wolno pominąć takich cennych pozycyj jak: „L'avare" (Skąpiec), „Les femmes savantes" (Sawantki) i „Le malade imaginaire" (Chory z urojenia). Molier umarł niemal na scenie. Grając po raz czwarty w „Chorym z urojenia" 17 lutego 1673 r. nagle zasłabł. Po skończeniu przedstawienia zaniesiono go do domu, gdzie na rękach najbliższych życia dokonał...

• • •

Molier w Polsce to specjalny temat. Wielokrotnie tłumaczony doczekał się znakomitych przekładów Tadeusza Boya-Żeleńskiego, który poświęcił mu również świetną monografię. O wpływie Moliera na komediopisarstwo polskie, szczególnie zaś na Fredrę pisał Bolesław Kielski. Komedie Moliera stale utrzymują się na afiszach naszych teatrów.

KRONIKA KULTURALNA

ZDRAWJA ŻEŁAJEM waszemu błagorodju!— Co znaczył ten okrzyk w dawnej armii carskiej, wiedzą ci, którzy pamiętają owe czasy. Młodemu pokoleniu nic on nie mówi. Toteż, jeśli w noweli Żeromskiego „Echa leśne" jest on użyty, trzeba go—w nowym jej wydaniu— objaśnić. Z tego słusznego założenia wyszedł prof. dr. Kazimierz Wyka, opatrując w komentarze tom nowel i fragmentów Żeromskiego, dopiero co przez „Czytelnika" wydany. I objaśnia ów okrzyk w sposób następujący: „Jest to formułka powitania pomiędzy dowódcą a oddziałem. Znaczy: życzymy zdrowia waszej wysokości! Po rosyjsku powinno być: zdorowja żełajem". W tym krótkim tłumaczeniu znajdujemy dwa grube błędy. Po pierwsze — „błagorodje" nie znaczy „wysokość" tylko „szlachetność" albo „dostojność", ściśle to, co niemieckie „wohlgeboren" — dobrze urodzony. W dawnej polszczyźnie (jak pokazuje Linde i Karłowicz) mieliśmy słowo „błogorodny" i „błogoród", dokładnie odpowiadające rosyjskiemu „błagorodju". Dziś „błagorodnyj" tłumaczymy po prostu na „szlachetny". „Błagorodjem" żołnierz carski musiał tytułować niższych oficerów, do kapitana włącznie; „wysokobłagorodjem" (niemieckie — hochwohlgeboren) — podpułkownika i pułkownika. Natomiast „wasza wysokość" („wasze wysoczestwo") to był tytuł tylko książąt krwi, członków domu cesarskiego, jak „wasze wieliczestwo" było tytułem cesarza — „wasza cesarska mość" albo „najjaśniejszy panie". Z komentarza tedy prof. dra Wyki wynikałoby, że każdy niższy „dowódca" w armii carskiej był księciem krwi. Po drugie, prof. dr. Wyka poprawia Żeromskiego, mówiąc: „powinno być: zdorowja żełajem". Wcale nie. Żeromski znał język rosyjski lepiej niż prof. dr. Wyka. „Zdorowje" i zdrawje" to są oboczności w języku rosyjskim, pochodzące z t.zw. pełnogłosu, właściwego niektórym językom słowiańskim, o czym każdy slawista mógłby prof. dra Wykę poinformować — np. „gołowa" i „gława", „mołodoj" i „młodoj", „gorod" i „grad" (Leningorod—Leningrad) i tp. Żeromski użył formy „zdrawje" należycie. Natomiast komentator jego nie zawsze go należycie wykłada, dając tak mętne wyjaśnienia, jak np.: monoandria to „monogamia z punktu widzenia kobiety". Jeśli się do tego rodzaju objaśnień doda pewne poprawki w tekście utworów Żeromskiego, jakie prof. dr. Wyka przeprowadza, tłumacząc je np. koniecznością „uzupełnienia luk tekstu" — wartość pięknego wydania nowel Żeromskiego maleje. A trzeba przyznać, że typograficznie ten obszerny tom stanowi arcydzieło, przynoszące zaszczyt „Czytelnikowi" i krakowskiej Drukarni Narodowej.

ZAPEWNE, Szwajcaria nie jest krajem wielkich idei i wielkich prądów. Życie tam płynie spokojnie i powszednio, uregulowane jak w „Cymie", którą przecie każdy z nas chciałby posiadać. Kultura w Szwajcarii jest raczej równomiernie rozłożona od dołów społecznych po szczyty, niżliby miała wystrzelać — nie przymierzając jak u nas — w pojedyńczych wspaniałych postaciach luminarzy, ukazując obok nich dżungle i pustynie. Można taką kulturę nazywać „mieszczańską" i kręcić na nią nosem. Ale nie wolno zapominać, że Szwajcaria jest ojczyzną Winkelrieda i Wilhelma Tella, Rousseau i Pestalozzi'ego, Secśtana i Henryka Dunant (1828—1910), laureata nagrody pokojowej Nobla, twórcy Czerwonego Krzyża. Republikanizm i demokratyzm, pacyfizm i humanitaryzm cechowały zawsze ten kraik, gdzie t. zw. przestępcy polityczni znajdowali zawsze bezpieczne schronienie. Dla Polaków Szwajcaria bywała szczególnie gościnna, poczynając od Mickiewicza, kończąc na Narutowiczu. Czasu obecnej wojny szwajcarski Czerwony Krzyż zdziałał wiele. Repatrianci polscy powracali ze Szwajcarii do kraju najlepiej zaopatrzeni. W roku ubiegłym Szwajcaria zapraszała do siebie dzieci polskie na dobre wywczasy. Gościła przez kilka miesięcy grono literatów naszych, którym zapewne na niczym nie zbywało. I oto jeden z tych literatów ogłosił w gwiazdkowym numerze pewnego pisma humorystycznego pamflet na Szwajcarię: „Luksus. Komfort — pisze poeta: — Obuwie z irchy. Raz na tydzień grzecznie do kirchy... Splunąć nie wolno. Straszne kary. Jedź do spluwaczki autokarem... Krowa dojna! Renta spokojna! Byle nie wojna! Prima! Cyma! Siedzą stadłami wieczór cały. Milczą i wytrzeszczają gały... O Uri, Unterwalden, Schwyz! Już raczej umrzeć, niż tak żyć!". I tam dalej — cały poemat. Pamflet jest napisany po mistrzowsku, iskrzy się dowcipem i złośliwością. Ale czy jest sprawiedliwy? Poczciwym, dobrodusznym Szwajcarom będzie przykro, gdy go przeczytają. Westchną pewnie i powiedzą: na drugi raz tych Polaków nie zaprosimy. Sami sobie psują opinię.

St. Łatka.

Zofia Petersowa i Seweryn Pollak

O SZTUCE PRZEKŁADU

ONA: Czy wszyscy zdają sobie sprawę z tego, czym jest przekład, i na czym sztuka przekładu polega?

ON: Chyba nie, bo naogół uważa się, że wystarczy znać język obcy, gdyż jeśli chodzi o język ojczysty, utarło się przekonanie, że go się zna. Tymczasem kryje się w tym wielkie nieporozumienie. Tylko nieliczni potrafią w sposób artystyczny operować własnym językiem i odpowiednio wyzyskiwać jego bogactwo, aby z przekładu stworzyć dzieło sztuki.

ONA: Słusznie. Dowodem może być stan przekładów przed wojną, gdy wydawcy, aby jak najwięcej zarobić, dawali dziełka do przetłumaczenia osobom niepowołanym, z czego powstawały straszliwe dziwolągi. Pamiętasz naprzykład zdanie: „Miał twarz obrośniętą śliwą", bo tłumacz pomieszał „Flaum"-puch z „Pflaume"-śliwą? Albo historia z „biesiadowaniem"; tłumacz, zasugerowany podobnym brzmieniem rosyjskiego „oni biesiedowali", nie wiedział, że należało po prostu przełożyć: „rozmawiali, gawędzili".

ON: Wolę już, gdy z dwojga złego tłumacz zna gorzej język obcy, za to doskonale ojczysty. Pomyśl, że na jedno francuskie pojęcie „beau" co znaczy piękny, ładny, śliczny itd. mamy w języku polskim wiele synonimów, i potrzeba subtelnego wyczucia językowego oraz taktu, aby brać wyraz najodpowiedniejszy.

ONA: Powiedziałeś, że to wymaga taktu. Co przez to rozumiesz?

ON: Pierwszym obowiązkiem tłumacza, zanim przystąpi do pracy, jest wczucie się w styl przekładanego dzieła. Musi on uwzględnić przy tym szereg czynników. A więc wziąć pod uwagę styl epoki, w której dany pisarz tworzył, osobliwe cechy wyobraźni twórczej tego pisarza, charakterystyczne, jemu wyłącznie właściwe układy skojarzeń i składni. Przekładacz musi być niejako spowiednikiem autora, umiejącym odczuć jego istotne odrębności i jego dążenia artystyczne.

ONA: Ale nasz stosunek do pewnych zjawisk literackich zmienia się z biegiem czasu, w zależności od ogólnych zmian w poglądach estetycznych?

ON: Dodajmy do tego, że język polski, jak każdy żywy język, również ulega zmianom. To wszystko jest przyczyną, że przekłady się starzeją. Tłumacz, choćby całkowicie podporządkowywał się intencjom oryginału, zawsze wnosi żywy element współczesnego sobie języka, który jest wytworem życia społecznego, jego warunków i środowiska. Środowisko i klasa społeczna, do której należy tłumacz, często wbrew jego intencjom wyciskają piętno nie tylko na języku tłumaczonego utworu, ale nawet na samej budowie zdań, a poprzez zniekształcenie składni — wpływają na zmianę treści — i w ten sposób tłumaczenie staje się nieścisłe.

ONA: Jest to po prostu zdrada ideologiczna, popełniana przez tłumacza wobec autora.

ON: Nazywasz to zdradą ideologiczną? Słusznie. Jest to u tłumacza określonego autoramentu swoisty stosunek do tłumaczonego dzieła, stosunek, mający swe podłoże nawet w poglądach politycznych tłumacza. Jakże często odpowiednio spreparowany przekład stawał się ważkim argumentem politycznym. O tym nie wolno nam zapominać przy ocenie, czy odpowiada on w danym momencie historycznemu zapotrzebowaniu społecznemu.

ONA: Obowiązuje to zarówno tłumacza prozy jak i poezji. Wyobrażam sobie, jakie miewają trudności tłumacze wierszy!

ON: Ba! i jakie! Ale zasadniczą rzeczą, o której trzeba pamiętać przy przekładaniu poezji, jest zachowanie wierności obrazowania.

ONA: O tym pamiętać musi także tłumacz prozy!

ON: Tak, lecz w poezji jest to warunek zasadniczy. Gdy w prozie obowiązuje ścisłość formalna — jasne chyba, że tego rodzaju ścisłości od tłumacza poezji wymagać nie można. Jego obowiązuje wierność obrazu poetyckiego, a nie konieczność dosłownego przetłumaczenia tekstu.

ONA: Tłumacze poezji mają przecież inne jeszcze trudności do pokonania.

ON: Owszem. Zagadnienie układów rytmicznych wiersza, zagadnienie rymów. To wszystko nie jest proste. Przy tym, jeśli w prozie można się stosować do pewnych ogólnych zasad przekładu, tłumacząc wiersze, należy każdy z nich traktować indywidualnie. Narzuca to tłumaczowi rygory, których musi przestrzegać, jeśli przekład ma posiadać walory prawdziwie dobrego wiersza, a nie być martwą odbitką oryginału. Co prawda, we Francji utarł się zwyczaj tłumaczenia wierszy prozą; jeśli jednak uprzytomnimy sobie, że rytm i rym są ściśle związane z uczuciowym zabarwieniem wiersza, że słowo i rytm zespolone są określonym powinowactwem, przyznamy rację staremu Delillowi, który powiedział, że „wierność prozaicznego przekładu wierszy jest zawsze bardzo niewierna".

ONA: Mówiłeś o rygorach. Moim zdaniem im więcej rygorów, tym łatwiejsza praca, gdyż ma się określone ramy, których należy się trzymać. Ale i proza ma swój rytm — wyraża on dynamikę akcji. Wobec innej konstrukcji składniowej w obcym języku, a tej przecież nie można niewolniczo naśladować, trzeba w tłumaczeniu znaleźć odpowiedniki nie tylko słowne, lecz i składniowe, ściśle zależne od języka na który się tłumaczy. W tym wyraża się twórcza praca tłumaczy prozy. Grozi tu przekładaczowi niebezpieczeństwo przesadnego spolszczenia utworu, odebrania mu cech narodowych.

ON: Jak się tego ustrzec?

ONA: Trzeba stale zachowywać krytycyzm wobec własnych odczuć, nie poddawać się duchowi języka obcego, a jednocześnie pozwolić, aby wpłynęła na nas atmosfera utworu, atmosfera obcego środowiska i obcej obyczajowości. Tych elementów nie wolno zatracić.

ON: Słusznie. Ale istnieją w językach obcych specyficznie dla nich, a nieprzetłumaczalne wyrażenia, przysłowia, nawet określenia pojęć. Co z nimi zrobić w przekładzie prozy?

ONA: Należy je przełożyć przy pomocy odpowiednika, najbliższego pojęciowo, ale w ten sposób, aby odpowiednik ten nie wnosił do utworu obcych elementów.

ON: Przypomina to istotne zagadnienie, dotyczące przekładu wierszy. W pewnych układach rytmicznych — po wiernym przełożeniu tekstu — powstaje luka, wynikająca z różnicy długości wyrazów obcych a naszych, którą trzeba zapełnić jakimś materiałem słownym. Jest to w gwarze tłumaczy tak zwana ‚wata". Musi ona być, jakby powiedział sławny ksiądz Pirożyński, „moralnie obojętna", to znaczy, że nie tylko nie może zaważyć na treści pojęciowej wiersza, ale nawet w jakimkolwiek stopniu wpłynąć na zmianę intencji uczuciowych tłumaczonego poety.

ONA: Jeżeli zreasumujemy obowiązki tłumacza, dojdziemy do wniosku, że zanim przystąpi on do przekładania obcego dzieła, winien dokładnie zapoznać się z epoką jego powstania, i wszystkimi właściwościami stylistycznymi, które warunkują charakter i odrębność utworu. Tłumacz powinien być skromny, w miarę swych sił nie narzucać przekładowi swoich właściwości stylistycznych i, broń Boże, nie „poprawiać" obcego autora własnymi dodatkami.

ON: Na tle tego cośmy powiedzieli, widać dopiero, że do pracy przekładowej powinni się brać wyłącznie ludzie powołani, wyłącznie literaci, doskonale władający piórem i znający prawa, które rządzą językiem. Przekład jest rzeczą odpowiedzialną. Jest to udostępnienie obcego dzieła sztuki czytelnikowi, jest to odtworzenie oryginału w innym materiale językowym. Czyż można do takiej pracy dopuścić ludzi niefachowych?

MARIAN PIECHAL

MOJA PIOSENKA

Ty pójdziesz górą, jasnym obłokiem,
a ja doliną
łzami gorzkimi, które potokiem
do morza spłyną.
Ty w słońcu jasną zakwitniesz różą,
a ja kaliną.
Cienie się nasze ku sobie wzdłużą,
ale nie miną.
Ty ziemi rosę, słońcu swe blaski
Oddajesz wiernie,
a mnie zostawiasz cień swej niełaski
i ostre ciernie.
Ty zawsze jasna, Ty zawsze górą,
zawsze obłokiem,
a ja mogiłą w dole ponurą
żalem i mrokiem.

Anegdoty historyczne



NAIWNOŚĆ DOBREGO CZŁOWIEKA

Znakomity chirurg francuski August Verneuil (1823 — 1895) był człowiekiem bardzo miękkiego serca, o czym wiedziała cała dzielnica Paryża, gdzie Verneuil mieszkał. Wielkiego lekarza wszyscy potrosze nabierali.

Pewnego dnia Verneuil spotkał przed swoim domem zapłakanego chłopca.

— Co ci to, mój mały przyjacielu? — zapytał wzruszony łzami dziecięcymi: — Czemu płaczesz?

— Ach, panie! — odpowiedział szlochając chłopiec: — Zgubiłem franka, którego dała mi matka, żebym wykupił lekarstwo w aptece.

— Twoja strata da się łatwo naprawić — rzekł poczciwy chirurg z uśmiechem: — Masz tu franka i biegnij po lekarstwo.

— Dziękuję! — zawołał chłopiec i wybuchnął jeszcze większym płaczem.

— Czemuż płaczesz jeszcze? — zapytał Verneuil niemal z przestrachem.

— Pomyślałem sobie, proszę pana, że gdybym nie zgubił tamtego franka, miałbym dwa.

Dobry Verneuil nie zawahał się i dał małemu łobuzowi jeszcze jednego franka.

GUSTAW MORCINEK POWRÓCIŁ



Gustaw Morcinek, znakomity pisarz po powrocie do rodzinnego Skoczowa, był serdecznie witany przez dzieci szkoły powszechnej. (Fot. H. Makarewiczowa)

Od i do Redakcji

Wszystkim Czytelniczkom i Czytelnik „Tygodnia", którzy nadesłali życzenia św teczne i noworoczne pod adresem Redak i Administracji składamy serdeczne podzię wanie.

P. Stefan Szypuła w Hucie Komorowsk p. Majdan Królewski. Dziękujemy za m słowa uznania. Wysyłki nie przerywamy.

P. Sławomir Pietrzak w Kaliszu. Za „szc re wyrazy uznania dla owocnej pracy „T godnia" oraz za „życzenia dalszego wspan łego rozwoju pisma" serdecznie dziękujem Brakujące do kompletu numery wysyłamy czta.

P. Teofil Podobiński w Goraju. W związ z powiększeniem objętości pisma wprowad my nowe działy i rozszerzymy dotychczaso po zakończeniu okresu przedwyborczego. 22 „Tygodnia", który Panu zaginął wysy my.

P. H. Smólska — Teatr Miejski w Częs chowie. Informacji udzielimy Pani listo nie.

P. Maria Iłłynicz-Gallina w Elblągu. sze Pani: „Redakcjo kochana! Przesyłam myśl, taką maleńką. Cieszyłabym się, g byś ją przyjęła. Polsce tak bardzo potrzeb jest dusza. Nadeszła Gwiazdka 1939 roku. nadeszło tak gorąco oczekiwane wyzwoler nie wkroczyły wojska alianckie, do który modliły się wprost miliony Polaków i inny narodów. Wydało się to tak dziwne, tak tr no było pogodzić się z tym, że nie pol żołnierz obładowany pakunkami wyjeżdża przyjeżdża na urlop, że rozrzuceni jesteś po całym prawie świecie i nie ma śród najbliższych, bo poszli od nas, albo na wsze, albo na długi okres czasu, a kie Dzieciątko zstąpiło na ziemię, nie zastało radosnych i rumianych twarzyczek dziec cych, nie słyszało głośno brzmiących ko i nie mogło się dostukać do polskich kośc łów. Były pozamykane. Minęło wiele tak gwiazdek i wiele nowych przeszło Polak Dusza polska kamieniała w bólu, dojrzewa Czuła, że to co straciła, nie przywróci nikt, że sama od nowa musi zdobywać. kie cudne i szlachetne miała zrywy, jak fiarna i oddana była Ojczyźnie swojej, c ko rannej. I minęło wszystko. Zdobyta P ska. Mamy Gwiazdkę. Polski żołnierz p dzie na urlop i głośno zabrzmi kolęda. sno i radośnie zabłysną świeczki na choi a roześmiane twarzyczki dziecięce z niec pliwością będą oczekiwały dzwonka, kt poprzedzi wejście starego, już zdrowego Gwi dora. Tylko bielsza i dłuższa będzie j broda. Szeroko otwarte drzwi kościołów prz mą Dzieciątko maleńkie a dzwony wezwą pasterkę. Jak radośnie i jasno nam będ kiedy srebrzysty śnieg pokryje wszystkie ny ziemi, a błoga cisza ukoi rany duszy. S my modły do tego maleńkiego Dzieciątka tych, którzy poszli i nigdy już nie wr Im dobrze jest w niebie. Wszystko co m dali Ojczyźnie, zginęli najpiękniejszą śm cią. Dziękujemy im za trudy i znoje, za r i krew, które nie poszły na marne. Dały znowu polską Gwiazdkę".

Listu Pani nie mogliśmy podać wcześ gdyż otrzymaliśmy go już po wydrukowa numeru świątecznego.

Ks. Piotr Szpilewicz w Siedlcach. W s wie „Myśli Karaimskiej" prosimy nawią kontakt z prof. dr. Ananiaszem Zajączkows z Uniwersytetu Warszawskiego (Warszawa Krakowskie Przedmieście 26/28), który naczelnym redaktorem „Myśli Karaimski

P. Bronisław Kulka w Woli Bliższej p. cut. Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień" wydała żadnego kalendarza na r. 1947, n miast w dniach najbliższych ukaże się kawy „Kalendarz Spółdzielczy", którego na wynosić będzie 50 zł., wydany przez Z zek Gospodarczy „Społem" i Związek R zyjny Spółdzielni R. P.

P. Gontarz w Kępie Celejowskiej. W k kursie fotograficznym podaliśmy czterna zagadek, zamiast projektowanych piętna a to dlatego, że chcieliśmy zakończyć k kurs przed świętami Bożego Narodzenia zakończeniu konkursu o tydzień wcześniej, daliśmy w numerze 22.

P. Witold Zubrzycki w Pestminie (port). desłany materiał wykorzystamy, prosimy dalszą współpracę.

P. inż. Władysław Brauman w Gorlic Uwagi Pana są dość interesujące i nadesł artykuł wydrukujemy.

P. Alicja Milewska w Olsztynie. Bar dziękujemy za miłe życzenia przes „każdemu z Panów z redakcji". Panowi administracji są urażeni, że o nich Pani pomniała. O Paniach już nie wspomina Na ostatnie zdanie odpowiedzi nie udziel bo jesteśmy dyskretni, zresztą zgodnie z ni życzeniem.

Jan Cichy w Ustroniu pow. Cieszyn. rozumiemy Pańskiego pytania i zdziwi odnośnie produkcji wagonów kolejowych Polsce. Istotnie warsztaty kolejowe w Pr kowie wypuściły 5000 wagonów w ciągu spełna dwóch lat. „Informator Spółdziel na rok 1946 wydany przez Związek Rewi ny Spółdzielni R. P. nie obejmował da za 1946 r. Przy tym podane przez nas c w ślad za całą prasą nie stwierdzają „u lokrotnienia" liczby wagonów, o ile Pan u nie przeczyta notatkę naszą w Nr 23.

WYNIKI WIELKIEGO
konkursu fotograficznego

W sobotę, 21 grudnia, zakończony został ʼielki Konkurs Fotograficzny, który przez 14 olejnych numerów „Tygodnia“ trzymał w apięciu znaczną część naszych czytelników. ık widać z liczby nadesłanych rozwiązań, ıinteresowanie konkursem było bardzo duże, hoć zarówno sam konkurs, jak i jego warun- nie należały do najłatwiejszych. Dowodzi ·go fakt, że tylko 5 osób nadesłało bezbłęd- e rozwiązania, otrzymując maksymalną ilość) punktów.

Oto prawidłowe rozwiązania poszczególnych ıgadek:

Zagadka pierwsza: Szczecin. Jest to frag_ ıent Wałów Chrobrego, skąd otwiera się roz- ·gły widok na port i przedmieścia, położone a prawym brzegu Odry. Mimo wyraźnych luzji, że chodzi tu o miasto polskie, nadesła- o odpowiedzi, wymieniające Budapeszt, a na- ʼet Wenecję (?). Inne mylne odpowiedzi po· ają przeważnie różne miasta Ziem Odzyska- ych, prawdopodobnie zupełnie na chybił-- rafił.

Zagadka druga: tapir: Ściślej tapir amery- ański (tapirus terrestris). Tu naogół odpo- ʼiedzi mylnych było mało: wymieniano okapi zwierzę z Kongo belg. podobne do osła), a 2 soby podały nawet świstaka. Ładny byłby o świstak — 2 m. długości!

Zagadka trzecia: Serbka łużycka. Na tym otknęło się wielu ewentualnych laureatów, ypując Jugosławię, zwłaszcza z wyjaśnieniem -Serbia. Ta typowa pomyłka wynikła prawdo- odobnie z podobieństwa czepka panny młodej o tureckiego feza. Błąd jest wyraźny: Jugo- łowianie podzieleni są między 3, a nie 2 gru- y wyznaniowe (prawosławni, katolicy, ma- ometanie), zaś Bułgarzy są wyznaniowo je- nolici. Łużyce natomiast dzielą się wyraźnie a katolickie i ewangielickie. Niektórzy czy- elnicy zaliczyli do państw słowiańskich... Albanię.

Zagadka czwarta: Wrocław. Słynny gotycki atusz wrocławski. Wzmianka o biskupstwie, ałożonym tu przez Bol. Chrobrego, sprowoko_ vała wielu czytelników do odpowiedzi błęd- ıych: Gniezno i Kołobrzeg.

Zagadka piąta: Fudżiyama. Kształt tego wy_ ısiego wulkanu jest tak charakterystyczny, e tylko kilku czytelników głosowało za Elbru- em, Kilimandżaro i Jungfrau.

Zagadka szósta: Albrecht Dürer. A więc nie Albert, Alfred, ani Adolf (!). Ani także Hans, tóry był jego rodzonym bratem i pracował m. ı. nad dekoracją zamku wawelskiego. Wobec oty, że miedzioryt reprodukowany powstał w 513 r., dowodem roztargnienia są odpowiedzi, odające autorstwo Rembrandta, Rubensa, tu- ɀież Juliusza Kossaka i Leona Wyczółkowskie- o (!). Nadto żaden z wymienionych nie był ni_ dy miedziorytnikiem.

Zagadka siódma: Latający Holender. Legenda eglarska widziała w nim kapitanów Barenta ʼocke, van der Deckena, van Straatena i in- ych. Oczywiście użycie tu wyłącznie nazwiska omniemanego kapitana nie wystarcza, gdyż le- enda czyni go bezimiennym. Wśród szeregu dpowiedzi takich, jak: Niebieska Stopa, Ari- ıan (?), kpt. Nemo, kpt. Grant, Pier Gint (!). eden z czytelników podał — Wittlin. Czy ma › być aluzja do wyprawy za Kanał znanego aszego poety? Ależ Tuwim także pływał i to rzez Atlantyk!

Zagadka ósma: Fiodor Szaljapin. Były też łosy, że to Didur, znany śpiewak operowy .a toś nawet upatrywał w znakomitym basie. . arola Szymanowskiego. Dalibóg, nawet naj_ ·źsi nasi muzykolodzy byliby tu w kłopocie o do nas, sądzimy, że twórca „Harnasiów“ był ıczej tenorem. Ale to kwestia do dyskusji.

Zagadka dziewiąta: tarantella, a nie czar- ısz, bolero fandango ani barkarola. A już tym nlej mazurek, choć Chopin i Wieniawski rze- zywiście pisali mazurki.

Zagadka dziesiąta: ks. St. Konarski. Pow_ zechnym błędem było doszukiwanie się w za- użonym prowincjale pijarów Hugona Kołłon- ıja. Niektórzy, zwabieni określeniem „ducho- ny“, podali Marcina Lutra. Pewien pan napi_ ł, że to... Voltaire. Voltaire duchownym? Nie, rosze pana. Wprost przeciwnie.

Zagadka jedenasta: Jerzy (George) Washing- n. I pod tą postacią niemało osób dostrzega- Kołłontaja, a więcej jeszcze — Małachow- kiego.

Zagadka dwunasta: Narvik, na dalekiej nor_ eskiej północy. Stąd w początku maja w cza· c walk polskich oddziałów, szczyty skał nad ·rdem są wyraźnie ośnieżone. Bardzo wielu ytelników przypisało ten śnieg afrykańskie- u Tobrukowi. Byli i tacy, którzy wiedzą o dziale polskich sił zbrojnych w walkach o... lest, a nawet o Dunkierkę. Nie, my nie mie- śmy Dunkierki.

Zagadka trzynasta: Boże Ciało. Oczywiście w owiczu, a nie w Jugosławii, jak chciało dwóch ytelników. Feralna okazała się cyfra 13 dla ch, którzy nie wiadomo czemu podawali róż- ne terminy zimowe: 11 listopada, 8 i 24 grud- nia, 2 lutego. Na zdjęciu widać przecie wyraź- nie, że stroje są letnie.

Wreszcie zagadka czternasta: głaz w miejscu śmierci Ulryka v. Jungingen pod wsią Grun_ wald.

Pozostaje nam pogratulować wszystkim u czestnikom konkursu, zwłaszcza zaś tym, któ- rzy przedarliszy się cierpliwie przez wszystkie przeszkody i pułapki konkursowe, zdobyli jedną z 50 nagród. Wreszcie wszystkich sympatyków pisma prosimy o wypowiedzi, czy konkursy fotograficzne podobają się im i czy chcą je widywać nadal w naszym piśmie. Zastosujemy się do życzeń czytelników.

Oto lista nagrodzonych uczestników konkur- su, zestawiona przez Komisję Konkursową po rozpatrzeniu wszystkich rozwiązań (w nawia_ sach liczba zdobytych punktów):

nagrodę w wysokości 3.000 zł. otrzymuje
1. Tadeusz Szczudłowski, Lublin, Szopena 9 pok. 14 (50);

dwie nagrody po 1.000 zł. otrzymują:
2. W. Szremowicz, Sopot, Stalina 829 m. 2. (50);
3. Maria Świcińska, Łódź, Przejazd 25 m. 46 (50);

pięć nagród po 500 zł. otrzymują:
4. H. Makarewiczowa, Katowice, Jordana 19 m. 8. (50);
5. Jerzy Łęcznar, Krosno, Lwowska 20 (50),
6. Andrzej Wędzki, Leszno Wielkopols., Al. Krasińskiego (46),
7. Jerzy Wojciechowski, Włochy k. Warszawy, Sejmowa 17 m. 1. (47),
8. Jan Gdowski, Jelenia Góra, Kraszewskie- go 8 (47);

10 nagród po 250 zł. otrzymują:
9. Józef Żak, Wieliczka, Mickiewicza 16 m. 1 (47);
10. Jerzy Jakubowski, Działdowo, Księżodwor- ska (wybudowane) (47);
11. Stanisław Pagaczewski, Kraków, Grottge- ra Boczna 9 (47);
12. Irena Hoffman, Szturm, Lipowa 8 (47);
13. Jerzy Raczyński, Nakło n. Notecią, gim- nazjum (47);
14. Tadeusz Gelewski, Szczecin, Bogusławska 23 m. 7. (47);
15. Janusz Gunderman, Gdańsk — Wrzeszcz, gen. Fiszera 6 m. 1. (47);
16. Alfred Chudacz, Sopot, Stalina 811 (45);
17. Irena Mączyńska, Wałbrzych, Moniuszki 6, apteka „Pod Orłem“ (45);
18. B. Waszczyńska, Łódź, Pabianicka 55 m. 2. (45);

wreszcie 32 nagrody w postaci prenumera- ty kwartalnej „Tygodnia“ otrzymują:
19. Krystyna Tichomirówna, Siedlce, Kilińskie- go 23 (44);
20. Adam Bartkiewicz, Ostrów Wielkopols., Partyzancka 23 m. 6. (44);
21. Henryk Bomski, Poznań, Daszyńskiego 122 m. 4 (44);
22. Jan Kosznowski, Warszawa Saska Kępa, Irlandzka 10 m. 2. (44);
23. Łapiński, Gdańsk — Oliwa, Al. Liczmań- skiego (44),
24. Julian Leszczyński, Łódź, Piotrkowska 83 m. 31 (44);
25. Wiesław Radomski, Łódź, Jaracza 82 m. 28 (44);
26. Walerian Lewicki, Biniew, pow. Ostrów Wielkopols. (43);
27. Zbigniew Horyd, Łódź Nawrot 1 m. 6. (43):
28. Aleksandra Frysiówna, Łódź, Wierzbowa 13 m. 49 (42);
29. Jacek Markociński, Rzeszów, Grunwaldzka 21 (42);
30. Franciszek Wandokanty, Wrocław, Pia_ stowska 47 (42);
31. Stanisław Michałowski, Inowrocław, Lucja- na Grabskiego 2 m. 3. (42);
32. Adam Mazur, Rzeszów, Króla Kazimierza 5 m. 3. (42);
33. Stanisław Cieślewicz, Nakło n. Notecią, Staszica 10 m. 4. (42);
34. Ewa Wachlówna. Opole n. Odrą, dr. A. Kośnego 18 m. 5. (41);
35. Anna Sosnowska, Gołków k. Warszawy, Anhellego 8 (41);
36. Józef Pedryc, Skarżysko — Kamienna, Sta- szica 4 (41);
37. Amelia Szyling, Radom, Sienkiewicza 28 m. 5 (41);
38. Stanisław Cieślak, Łódź, Łagiewnicka 73 (40);
39. Jerzy Sawicki, Wawer k. Warszawy, Pło- wiecka 46 (40);
40. Jerzy Wdowiak, Legnica, Lipowa 8/II p. (40);
41. Wacław Majewski, Sosnowiec, Piekarska 1 m. 4 (40),
42. A. Lewandowski, Warszawa, Saska Kępa, Lipska 14 (40);
43. Aleksander Gąsiorowski, Warszawa, Gra_ żyny 13, „Społem“ (39);
44. Tadeusz Abratowski, Glinik Mariampolski, pow. Gorlice (39);
45. Maria Dolińska, Warszawa 26, Motorowa 18 (39);
46. Jan Krzemieniecki, Sopot, Chopina 40 m. 8 (39);
47. Maria Mieszałówna, Mińsk Mazowiecki, „Społem“ (39);
48. Janusz Elmanowicz, Poznań, gen. Prądzyń- skiego 56 m. 3. (39);
49. Tadeusz Moch, Warszawa, pl. Narutowi- cza 5 m. 821 (39);
50. Szymkiewicz Mieczysława, Skarżysko — Kamienna, Kościuszki 11 m. 3. (39).



TAKI SWETEREK MOŻESZ ZROBIĆ SAMA!

Sweter jest wykonany ściegiem zwyk- łym — na prawo, prócz ściągacza i man- kietów, które wykonane są: dwa ściegi na prawo i dwa na lewo. Przód i tył są zro- bione jednakowo i z wełny tego samego koloru. Natomiast karczek z przodu i re- kawy można zrobić z różnokolorowej weł- ny. Z pewnością w domu znajdzie się sporo kolorowych wełnianych resztek. Od- powiednio dobierając kolory, otrzymujemy elegancki, efektowny sweterek.

DRUGI KONKURS „TYGODNIA“
NA REBUSY I KRZYŻÓWKI

Krzyżówka.

Z liter, znajdujących się w figurze, utwo- rzyć według poniższych znaczeń 4 ośmiolit- terowe wyrazy, które czytają się jednakowo, tak poziomo jak i pionowo.

Znaczenie wyrazów: 1. Orszak podróżnych na Wschodzie. 2. Student. 3. Latarnia uliczna. 4. Dyl na brzegu burty łodzi, po którym się chodzi.

		A	A	A	A		
		A	A	A	A		
A	A	B	B	D	E	E	E
E	E	E	I	I	K	K	K
K	K	K	K	K	L	L	M
M	N	N	R	R	R	R	R
		R	R	R	T		
		T	U	W	W		

WARUNKI KONKURSU

W numerze 17 ogłosiliśmy II Konkurs na rebusy i krzyżówki, które podawaliśmy w dzie- sięciu kolejnych numerach. W dzisiejszym numerze kończymy nasz konkurs.

Jako nagrody Redakcja przeznaczyła:

1 nagrodę — 2000 zł.
2 nagrody po 1000 zł.
4 nagrody po 500 zł.
10 nagród — prenumerata kwartalna „Tygodnia“.

Za prawidłowe rozwiązanie każdego zadania przyznane będą 3 punkty. Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wy- granej. W razie równej ilości zdobytych punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi nad- syłać należy do dnia 20 stycznia b. r. do Re- dakcji „Tygodnia“ — Łódź, ul. Pomorska 37 m. 1 z zaznaczeniem na kopercie: Konkurs na rebusy. W następnym numerze ogłosimy III Konkurs, przy czym dział rozrywek umy- słowych będzie powiększony i wprowadzimy nagrody książkowe.

TYDZIEŃ
DOBREJ GOSPODYNI

W dzisiejszym numerze otwieramy no- wy dział dla naszych czytelniczek. Dziś znacznie więcej kobiet niż przed wojną prowadzi samodzielnie swe gospodarstwo domowe, nie wszystkie jednak umieją so- bie radzić.

Nasz kącik gospodyń pragnie przyjść im w tym z pomocą. Będziemy podawać prze- pisy i rady — jednocześnie zapraszamy nasze Czytelniczki do współpracy. Nadsy- łajcie zapytania: co Was interesuje, o czym chciałybyście wiedzieć, jakie macie w go- spodarstwie kłopoty. O ile znane są Wam jakieś dobre, nowe przepisy gospodarskie, prosimy również o nadsyłanie: taka wymia- na własnych doświadczeń będzie z pewno- ścią bardzo ciekawa i pożyteczna.

A więc — radźmy się jedna drugiej!

OSZCZĘDNIE, SMACZNIE, ZDROWO... KILKA TANICH A DOBRYCH PRZEPI- SÓW KUCHARSKICH

W dni bezmięsne kupujemy rybę, przy- kszy się jednak jeść ją ciągle gotowaną albo smażoną.

Podajemy przepis przygotowania dor- sza, szczupaka lub sandacza „po grecku“.

Smażymy rybę, pokrajaną w kawałki, najlepiej na roślinnym tłuszczu. Osobno zasmażamy cebulę na rumiano, do ron- delka dajemy dowolną ilość pomidoro- wego puré z puszki i dodajemy usmażoną cebulę, pokrajaną w paseczki gotowaną marchewkę, pietruszkę i seler, dodajemy również do smaku papryki, soli i cukru. Zagotowujemy pomidory z włoszczyzną i łyżką mąki. Zalewamy tym rybę, uprzed- nio wyłożoną na półmisek. Podawać moż- na na gorąco lub na zimno jako zakąskę.

Do tego celu można również użyć prócz ryb świeżych, konserwy rybne „Społem“.

SAŁATKA Z JARZYN

„Społem“ posiada dużo smacznych ja- rzynowych konserw. Z tych konserw moż- na naprędce zrobić wyśmienitą sałatkę z majonezem. Otworzyć puszkę lub dwie jarzyn, dodając do nich kilka ugotowanych kartofli drobno pokrajanych. Ukręcić w garnuszku majonez: 1 żółtko dobrze ro- zetrzeć z łyżeczką musztardy, dodać tro- chę soli i cukru. Dobrze ukręcić, dodając po kropelce soji lub oliwy, nie więcej niż 15—20 deka, aż masa zrobi się gęsta. Do- dać do smaku octu i zmieszać majonez z sałatką, wyłożyć do salaterki. Podawać można do ryby lub mięsa, albo też jako zakąskę.



JAK ROZMNOŻYĆ JEDNĄ SUKNIĘ?

W kolekcjach modeli duże powodzenie mają tak zwane „deux-pièces“ — suknie, składające się z dwóch części. Taka suk- nia jest bardzo praktyczna i ładna, o ile umiejętnie się ją skomponuje.

Zazwyczaj górę sukni stanowi tunika, prosta w kroju, której baskinka jest ob- cisła w biodrach i dopasowana w talii. Wciąż jeszcze modne są rękawy o kroju kimono. Do jednej spódniczki można uszyć kilka tunik: z aksamitu, który jest obec- nie bardzo modny, z kwiecistego lub ma- towego jedwabiu, lamy itp. Można rów- nież dobierać wełny w dwóch kolorach, harmonizujące ze sobą.

Z kolei do tuniki można włożyć długą spódnicę i wtedy będziemy miały wieczo- rową suknię.

Modele te są bardzo praktyczne i po- zwalają zaoszczędzić sporo pieniędzy.

JAK JEST NAPRAWDĘ Z HARRISEM?

Słusznie, czy też niesłusznie „Piosenka o mojej Warszawie“ stała się u nas tak popularna, jak żadna inna. Okazywany gdzie niegdzie zabawny kult dla tego utworu, naraził jego autora na drwiny i żarty. Ale popularność piosenki rosła, przy tym, z dnia na dzień. Dzisiaj śpiewa ją już cała Szwecja. „Sangen om Warszawa“ rozbrzmiewa po ulicach Sztokholmu, nuty i płyty gramofonowe wraz z portretem Harrisa widnieją w wystawach sklepów muzycznych. Podobno i Norwegia zaraziła się już tą melodią. Słusznie, czy też niesłusznie, utwór ten pozyskał sobie zwolenników nawet pośród tych, którzy nie są uczuciowo związani z Warszawą

Natomiast autor utworu znalazł się u nas ostatnio pod pręgierzem bardzo przykrych i poważnych zarzutów. Zaatakowano go ostro w prasie za to, że wyjechał do Ameryki i tam udzielił, rzekomo, wywiadu prasowego, w którym oszkalował naszą nową rzeczywistość, władze i rząd. Słyszało się nawet o wydanym, jakoby, zakazie produkowania w Polsce utworów Harrisa.

A tymczasem... Harris siedzi w Sztokholmie i do Ameryki, jak dotąd, nie wyjechał. Bierze stały udział we wszelkich imprezach i koncertach organizowanych przez poselstwo polskie, lub na rzecz Polski przez Szwedów i odgrywa niemal — toute proportion gardée — rolę Paderewskiego — w kieszonkowym wydaniu. W poselstwie naszym twierdzą, że rozmowa Harrisa, którą przeprowadził z dziennikarzem szwedzkim, a która dała początek nieporozumieniu, — utrzymana była w tonie poprawnym, natomiast przedruk jej w amerykańskim „Nowym Świecie“ znany właśnie u nas, sfabrykowany został wypróbowaną na emigracji metodą fałszu, za co Harris nie ponosi winy.

Sprawa Harrisa sama w sobie nie byłaby oczywiście, niczym ważnym, gdyby nie zagadnienie prostej sprawiedliwości, które nie jest rzeczą całkiem obojętną. Jeśli Harris jest winien, należy go potępić. Ale — jeśli winien nie jest?...

Jan Brzechwa

Stefania Grodzieńska

LIST OD ALICJI
POPIELICE

Moja kochana!

Nie mogłam się powstrzymać, żeby do Ciebie nie napisać. Jestem tak zdenerwowana, że wprost nie wiem, co się ze mną dzieje. Naprawdę już nie wiem, co oni w końcu wymyślą. Teraz, akurat teraz to zawracanie głowy z Daniną! Rzeczywiście pomyślałby kto, że ja już nie mam na co pieniędzy wydawać, tylko na zagospodarowanie Ziem Zachodnich! Sama się jeszcze nie zagospodarowałam, a tu mi się każą martwić o innych. Nikogo nie znam na tych Ziemiach, więc z jakiej racji mam wydawać pieniądze na zupełnie obce gospodarstwo? I to akurat teraz wyznaczyli, kiedy właśnie muszę ciułać pieniądze na ratowanie życia. Przeżywam straszne rzeczy. Wyobraź sobie, że Kropski Kropskiej kupił popielice! Jak jej nie wstyd w takich ciężkich czasach! Ja mam tylko foki i karakuły, a Kropska popielice. Z tymi krzywymi nogami. Więc sobie pomyślałam, że nie mogę dłużej żyć z tą świadomością, że Kropska ma popielice, a ja nie i postanowiłam ratować swoje życie w ten sposób, że kupię sobie też popielice. Mężowi wytłumaczyłam, że jeżeli się poważnie rozchoruję z tego powodu, to lekarze będą drożej kosztowali, niż futro. O, nie myśl, moja droga, że nam to łatwo przyjdzie. Teraz karnawał, musiałam sobie sprawić kilka wieczorowych sukien, a te francuskie jedwabie takie drogie. Przed wojną kosztowały 20 złotych a metr. Pomyśl, gdyby tak teraz. Wszyscy chodziliby we francuskich jedwabiach, bo któżby sobie nie mógł pozwolić na 20 złotych za metr. Ale oni wiedzą, jakie na to ceny wyznaczyć?



muszę się bardzo szarpnąć na te popielice.

Słowem muszę się bardzo szarpnąć na te popielice. Wcale mi na nich nie zależy ale nie dopuszczę, żeby Kropska kpiła ze mnie w żywe oczy. Nie przeżyłabym tego. Przyznasz więc, moja droga, że każdemu powinno być bliższe własne zdrowie i życie, niż jakieś Ziemie Odzyskane. A tu właśnie teraz, kiedy muszę zbierać te grosze na futro rozpisali Daninę. A co ja jestem winna, że te Ziemie są Odzyskane? Niech płacą ci, którzy odzyskiwali. Oni chcą pokazać zagranicy, że sobie dają radę z tymi ziemiami. A niech pokazują, tylko dlaczego za moje pieniądze? Od ust mi popielice odejmuja.

I co za pomysł, żeby wyznaczać sumę zależnie od stanu majątkowego! Tyle się mówi o tym, że ma być równość. Więc jeśli równość, to dlaczego ja mam płacić więcej, niż nasz woźny? A jeśli już postanowili, że każdy płaci inaczej, to im kto mniej ma, tym więcej powinien zapłacić. Bo jeśli ktoś i tak nic nie ma, to mu wszystko jedno. I tak sobie popielic nie kupi. A mnie ta danina zrujnuje. Będę musiała o tydzień dłużej czekać na te popielice, podczas gdy Kropska z tymi krzywymi nogami już ma. Zresztą zepsuła mi całą zabawę w Sylwestra... Byłyśmy razem w lokalu i Kropska, jak weszła w tych popielicach, tak w nich siedziała przez całą noc. Więc ja oczywiście musiałam przesiedzieć całą noc w moich karakułach, przeziębiłam się i mam katar. Wszystko przez tę Daninę, bo gdybym już miała popielice, to Kropska nie grałaby mi na nerwach swoimi i nie musiałabym siedzieć tam w futrze. Widzisz więc, jakie skutki z tej Daniny. Ale nic. Czekajmy cierpliwie.

Twoja Alicja

WESTCHNIENIE EMIGRANTA

Londyn owszem, nie powiem,
miasto europejskie,
w każdym sklepie sprzedają
materiały angielskie.

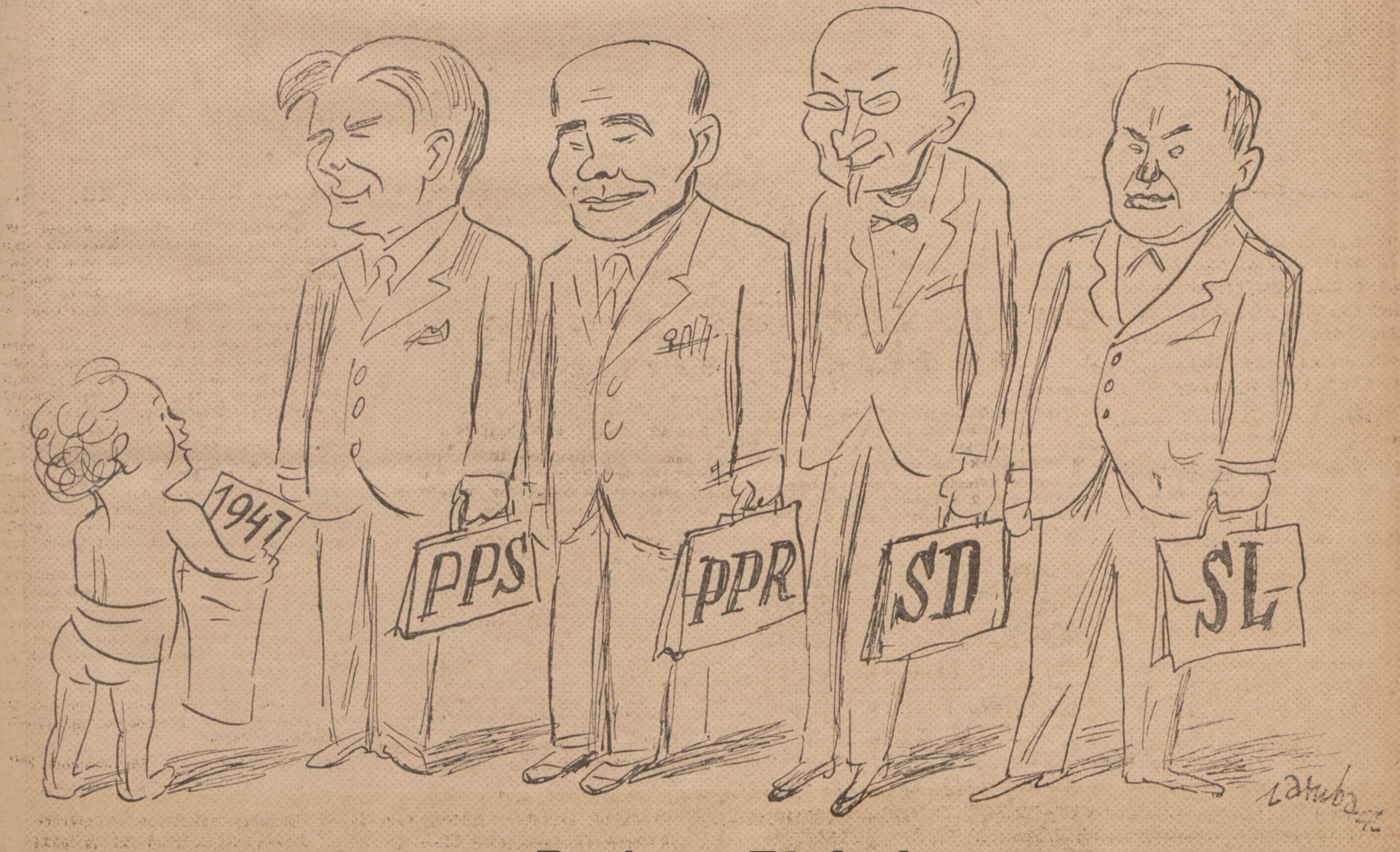
Paryż — wielka kultura
w najwspanialszych przejawach,
tam zwyczajny robotnik
po francusku rozmawia!

Wiedeń — miasto walczyków,
które znasz od kołyski,
w pięknym, modrym Dunaju
możesz moczyć odciski.

Ale wszędzie nostalgia
dręczy cię nieodparcie,
gdy pomyślisz o cudnym
polskim piciu i żarciu...

Ach, Ojczyzno, Ojczyzno,
co mi Louvre, co mi Prater,
Westminster także oddam
za warszawski rozbratel!

A. Tom.



Jeszcze jedno Życzenie Noworoczne **Dosiego Bloku!** *rys. J. Zaruba*



Z dużym opóźnieniem nadeszły do Polski oryginalne zdjęcia z tragicznej epopei samolotu „Dakota". W serii jesiennych katastrof powietrznych ta najmocniej i najbardziej wstrząsnęła opinią całego świata, zarówno dzięki okolicznościom jak i dzięki stoczonej z powodzeniem dramatycznej walce ludzi z żywiołem o ocalenie życia garści załogi i pasażerów.



Ale oto ekspedycja ratunkowa już jest w drodze.

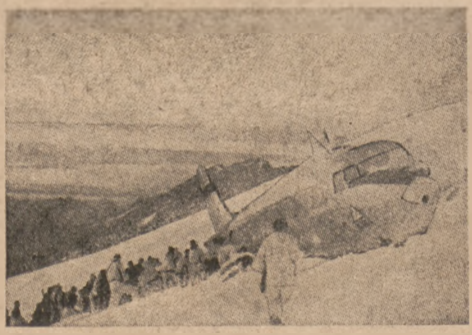
Ta walka o wydarcie śmierci kilkunastu ludzi zainteresowała wszystkich czytelników gazet i słuchaczy radia, którzy z zapartym oddechem śledzili początkowe niepowodzenia i wreszcie znakomity sukces bohaterskiej ratowniczej wyprawy.

Poprzedni okres, który przeżyła ludzkość, okres wojny totalnej, przyzwyczaił nas do całkowitej, głębokiej pogardy dla życia ludzkiego. Pod panowaniem faszyzmu, w krajach przezeń okupowanych nie było nic tańszego ponad życie człowieka. Pogardzając faszystowskimi metodami wyniszczenia całych miast, krajów i narodów, mimo woli tępieliśmy na wszelkie objawy bestialstwa i barbarzyństwa.

Faszyzm i hitleryzm zostały pokonane, ale w duszach ludzkich, nie tylko zwyciężonych ale także i zwycięzców, pozostawił głębokie ślady zniszczenia moralnego, straszliwe płody nihilizmu, którym się kierował w swej zbrodniczej działalności.

I oto w tym powojennym świecie, poszukującym dróg odbudowy nie tylko materialnej ale i moralnej, przychodzi katastrofa „Dakoty". To amerykański samolot pasażerski osiada na wysokim alpejskim szczycie w bezpośrednim sąsiedztwie bezdennej przepaści. Cudem nazwać można fakt, że nikt z załogi i pasażerów poza drobnymi obrażeniami nie ponosi żadnego szwanku. Ale to jeszcze nie gwarantuje im uratowania życia. Mróz i głód czyhają na nich.

Ale nadchodzi ratunek. Nie tylko wojskowe samoloty wyszukują miejsce pobytu „Dakoty". Z narażeniem życia spieszy jej na pomoc ekspedycja szwajcarska, która, pokonawszy najcięższe przeszkody, osiąga cel: rozbitkowie są ratowani.



Kadłub „Dakoty" i jej pasażerowie odnalezieni.

Ten fakt, który nam przypominają reprodukowane tutaj fotografie, pozwala z powrotem nabrać wiary w człowieka, pozwala wierzyć, że czasy pogardy bezpowrotnie już minęły.



Ręka rozbitka nakreśliła na śniegu tragiczne „fini" — „skończone" — wyraz całkowitego braku nadziei na ocalenie.

KIEDY BYŁO LEPIEJ?

„Dawniej było lepiej" — powtarzają starzy ludzie, nie zastanawiając się nad tym, kiedy to było. Wiadomo, że każdemu z nas było lepiej wtedy, kiedy, zamiast dzisiejszych 50 lat, miał ich 25 lub 30.

A jak jest w istocie? Odpowiedź na to pytanie znalazłem w ksiażce podróżniczki angielskiej C. F. Gordon Cumming pt. „Życie w Chinach". Z książki dowiedziałem się, że w roku 212 przed narodzeniem Chrystusa zasiadł na tronie Chin cesarz Szi-Hwang-Ti, twórca istniejącego do dziś muru chińskiego. Nie mogąc dać sobie rady z milionami wiecznie niezadowolonych poddanych, wydał on zarządzenie następujące:

„Będą karani śmiercią, a ciała ich wystawione na placach publicznych ci, którzy by się ośmielili krytykować rozporządzenia cesarskie i robić złośliwe porównania między dobrymi dawniejszymi, a ciężkimi dzisiejszymi czasami.

Doczytawszy do tego miejsca, wstałem i chwilą skupionego milczenia uczciłem pamięć i mądrość wielkiego cesarza. Bo skoro już przed dwoma tysiącami lat ludzie tęsknili za dawnymi, dobrymi czasami, kiedyż właściwie były te dobre czasy?

E. Borecki

PODRÓŻ KOLEJĄ 1834 R.

Z Liwerpolu jechałem do Menczesteru drogą żelazną; pęd niesłychany, ale tego pędu siedząc w powozie nie czuć bynajmniej, kto go chce poczuć niech siądzie na wierzchu powozu, a przekona się, że pędzi prędzej od wiatru w tę stronę, w którą się jedzie.

Wygodna to rzecz dla podróżnych te drogi żelazne, ale niewygodna dla mieszkańców tych okolic, przez które te drogi przechodzą, bo drogi żelazne przecinając pola psują gospodarstwa, a dym wozów parowych odbiera żyzność przyległym polom i łąkom; drogi żelazne i tę jeszcze mają niedogodność, że wiele kosztują, i nie prędko na nie wszystkie kraje i okolice zdobyć by się mogły. Zdaje mi się, że rozum ludzki za pomocą Boską wymyśli coś mędrszego jak drogi żelazne, a wtedy szczątki dróg żelaznych będą świadczyć o dzieciństwie sztuki dzisiejszych czasów, tak jak zwaliska dawnych wodociągów świadczą o dzieciństwie sztuki w dawnych wiekach. Nim jednak nastąpi ta hańba dla dróg żelaznych radbym, żeby były wszędzie, żeby już były zaraz natychmiast, bo jeden z mędrców francuskich powiedział, że drogi żelazne wrócą nam Polskę.

Dziękuję mu za to proroctwo, ale z dźwiganiem Ojczyzny nie radzę spuścić się na podobne temu proroctwa, ani czekać na drogi żelazne.

(Al. Jelowicki — Moje Wspomnienia, 354).

Od administracji:

Prosimy o odnowienie prenumeraty na m-c styczeń

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień" ● Redaguje: zespół redakcyjny ● Redaktor naczelny przyjmuje 13—14 ● Redakcja rękopisów nie zwraca.
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Pomorska 37, m. 1, tel. 14-906 ● Prenumerata miesięczna 40.— zł ● Konto P.K.O. Łódź VII Nr 4321
Ogłoszenia: cena za 1 mm wysokości na szerokość 1 szpalty—50.— zł ● Druk: Zakłady Graficzne „Społem" Łódź, ul. Andrzeja Struga 63 ● D. 011198